Numer 28. Należ. poczt. opł. gotówką. **Dnia 9 Lipca 1933**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dowiedział się.

Pan inspektor przyszedł do szkoły na wizytację. Nauczyciel trzymał właśnie kij w ręce. Kiedy inspektor wziął kij do ręki, począł dzieci pytać z geografji i pokazał kijem na mapie kilka miast, potem położył kij na ławce i zapytał:

— Dzieci, które z was mi powie, na co kij jest w szkole?

Dzieci spuściły oczy w ławki, kryły głowy w ramiona i pośmiechiwały się cichaczem do siebie, lecz żadne ani słowa nie chciało powiedzieć.

Wtem inspektor zauważył, że w ostatniej ławce dwóch chłopaków śmieje się i szepce coś do siebie. Zbliżył się tedy do nich i powiada:

— No, to pewnie wy wiecie, na co jest kij w szkole? Powiedzcież tedy!

Ale żaden znowu ani słowa nie chciał powiedzieć, tylko się z ukosa śmiali do siebie.

— Nie bój się — zachęca inspektor jednego — powiedz przynajmniej, co on pocichu mówił do ciebie!

— On... on powiedział... że głupi ten, co nie wie, na co kij w szkole!

Z drugiego świata.

— Pewien profesor w Ameryce rozmawiał ze zmarłym jeszcze 10 minut po śmierci.

— Niepodobna!

— Tak, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Chciał, to dał.

Wojtek przychodzi do domu z nosem strasznie spuszczonym na kwintę.

— Co ci to? — zapytała żona.

— Ha, mój pan chciał mi dać cztery razy w gębę!

— A skąd ty wiesz, że chciał dać cztery razy?

— Ano, bo dał!

— Więc nie gadaj, że ci chciał dać!

— No, gdyby nie był chciał, nie byłby dał!

Wynalazek.

W pewnej fabryce zjawia się wynalazca z skonstruowaną przez siebie maszyną.

— Maszyna ta zastępuje 100 robotników — oświadcza dyrektorowi.

— Niech mi pan lepiej przedstawi maszynę, która zastąpi 100 klijentów — odpowiada dyrektor.

Zawiły rachunek.

— Słyszałem, że pańskie rodzeństwo jest bardzo liczne. Ile was jest wszystkich?

— A niech pan sam policzy: jest nas jedenastu chłopców i każdy z nas ma jedną siostrę.

— Co pan mówi? To was dwadzieścia i dwoje?

— Ależ nie — tylko dwanaścioro.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 28. Rok XVI. Kraków, dnia 9 lipca 1933.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.

Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urzad Czekowy 500.868

Szanujcie rodziców.

Żył w zeszłem stuleciu w jednej z podkarpackich wiosek bardzo stary człowiek imieniem Błażej. Żona odumarła go wcześniej a on pozostał sam, z synem jednookim, w którym pokładał całą swą nadzieję na starość!

Dopóki mógł, pracował Błażej ciężko, świtem rano wychodził z domu do pracy a wracał późnym wieczorem, by krwawo zapracowanym groszem wyżywić i okryć siebie i syna, miał bowiem w swem ojcowskiem sercu niepłonną ufność, że ten syn, jedynak, będzie w starości jedyną jego pociechą i radością. Ożenił go nieźle, oddał mu całe swe mienie a sobie wymówił tylko kącik i łyżkę strawy.

Był jednak już tak spracowany i stary, że ręce mu się trzęsły, jak w febrze, toteż często trafiało się, że rozlał z łyżki strawę lub też wypuścił miskę z rąk. Syn i synowa patrzyli na to z niechęcią i wreszcie odsunęli go od wspólnego z nimi przy stole jedzenia, i kazali mu jadać osobno pod piecem. Dali mu glinianą miseczkę, drewnianą łyżkę a na posiłek udzielali mu tak mało strawy, że stary Błażej nigdy sobie nie mógł pojeść do syta, toteż spoglądał starowina żałosnem okiem na obficie zastawiony smacznemi potrawami stół i na niewdzięcznego syna i synową, smacznie i wesoło zajadających. Nieraz zapłakał starzec gorzkiemi łzami.

Jedyną pociechą dla Błażeja był wnuczek Pawluś, dwuletnie prześliczne dziecko, nad wiek mądre i gorąco miłujące dziadka.

Trafiło się pewnego razu, że Błażej nie mogąc utrzymać miski, wypuścił ją z rąk i rozbił. Synowa wraz z synem nawymyślali mu znowu dowoli, wkońcu uradzili, by ojcu kupić drewniane korytko, to choć je z ręki puści, to się nie zbije. Jak uradzili, tak zrobili.

Odtąd jadał dziadek w korytku a w czasie jedzenia nieraz gorzka łza wpadała mu z oka do strawy.

Gdy pewnego razu posilał się dziadek z korytka pod piecem a syn i synowa raczyli się przy stole, usiadł mały Pawluś u nóg dziadka i zaczął coś z deszczułeczek majstrować. Zapytany następnie przez ojca, co robi, że nie idzie jeść, odpowiedział, że robi korytko. Gdy następnie zapytał go ojciec, na co mu korytka potrzeba, odpowiedział z dziecinną naiwnością, że jak kiedy urośnie, to każe mamie i tatowi jeść w niem.

Odpowiedź ta zastanowiła rodziców Pawlusia. Zrozumieli, że Bóg przez usta dziecka przypomina im swe czwarte przykazanie: „Czcij ojca twego i matkę twą". Zrozumieli swe brutalne względem ojca staruszka postępowanie i żal ogromny nimi zawładnął. Rzucili się obydwoje do nóg Błażeja i błagali go o przebaczenie, przyrzekając poprawę. Od tego czasu poprawił się byt Błażeja, jadał znowu z wspólnej misy razem z nimi a syn i synowa okazywali mu na każdym kroku szacunek. Przeżył jeszcze kilka lat z nimi, a gdy umierał, przebaczył im z serca jeszcze raz wyrządzoną mu przykrość i dał im na dalszą drogę życia przestrogę, że Pan Najwyższy nakazał czcić i szanować rodziców, bo oni są po Bogu największymi dobroczyńcami dla dzieci na ziemi i by pamiętali o tem, że co dzieci robią ze swymi rodzicami, oddadzą im tosamo w przyszłości ich własne dzieci.

Jest to jeden z wielu przykładów, stwierdzających, że jak dzieci postępują z swemi rodzicami, tak kiedyś ich dzieci postąpią z nimi. Jeżeli więc ktoś liczy na miłość i szacunek dzieci, powinien sam największą czcią i miłością otaczać swych rodziców. Bo powiada stare przysłowie: „Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą".

Piotr Wenc.

Zdrada wojewody Wincza.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy).

Marszałek Teodoryk, bacząc, że tu się wszystkie oddziały wygodnie położyć mogą, kazał przy Blewie obóz rozkładać.

Mila była tylko od miasteczka Radziejowa, gdzieby jego ludzie woleli byli stać, aby i osadę zaskoczyć i znaleźć lepszy przytułek. Tu w dzikiem polu, gdzie nigdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tylu koni — szemrano na niewygodne legowisko.

Lecz z Teodorykiem się spierać nawet Wielki Komtur nie śmiał.

Zygard, komtur Koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, syknął, obejrzawszy się i do marszałka pobiegł konno.

— Mamyż tu noc spędzić na tej pustyni, w nizinie mokrej... gdzie ani dobrej paszy, ani wody niema?...

— Staniemy tu; każcie rozbijać namioty — odparł marszałek zachmurzony. — Mam powody, dla których zebrać tu muszę nasze siły. Czekam Ottona z Luterberga i tych, co na Brześć poszli; nie trzeba się rozpraszać. Chociaż mi wojewoda ręczy, że król daleko i że o nas nie myśli, a uchodzi — ja niezupełnie temu wierzę. Oddziały nasze porozdzielane. Tu się zgromadzić potrzeba.

Marszałek spojrzał na mówiącego i wejrzeniem tem pokazał mu, że rozkaz nie może być zmieniony.

Zygard zamilkł.

— Zdaje mi się, że obawa co do króla krakowskiego próżna — odparł cicho, pomilczawszy. — Radby uniknąć spotkania, to jawna rzecz, a musi wiedzieć, że i król Jan nareszcie ciągnie, aby Poznań opanować. Nasi bracia pomęczeni, a tu im stać nie będzie spoczynkiem.

Teodoryk ramionami obojętnie poruszył i powtórzył:

— Dajcie rozkaz, aby się tu oddziały ściągały.

Nie mogło być już sporu o to; Zygard konia zawrócił i pojechał zwolna do swoich braci, którzy szemrali, jak on, na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nawet chróstu na ogniska nie mogącej im dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnemi zagony po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotąd nie spotykająca nieprzyjaciela, przestała już wierzyć w niego.

Opodal trochę od wielkiego namiotu, który pośpiesznie rozpinano, bijąc koły, mające go utrzymać, na koniach stali Zygard Koprzywnicki, Herman, Elbląski komtur, Albert Oret Gdański, kilku gości znaczniejszych komturów i kilku grafów, należących do Zakonu. Składali oni kółko, nawykłe czasu tej wojny zabawiać się razem, ucztować, polować i panować nad ludźmi.

Herman Elbląski szczególniej był w chwilach szału żartobliwy i do okrucieństwa umiał mieszać dowcip cyniczny. Opowiadano o jego rozmaitych wykwintnych a przemyślnych sztukach w znęcaniu się nad pogany, bo co polskie, dla Krzyżaków za pogańskie stało.

Kółko to dobrych druhów było już nieco znużone łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem. Zapasy obozowe z Torunia, wzięte na wyprawę, wyczerpywały się, wino było coraz gorsze, przyprawa pigmentu coraz mniej korzenna, kuchnia coraz bardziej zaniedbana. Jesień miała poranki chłodne i dnie słotne. Kraj stał się wielką wygorzałą pustynią, ludzi nawet dla zabawy nie spotykali, wszyscy więc za tem głosowali, aby z łatwem i zupełnem zwycięstwem powracać do Torunia.

Twarze większej części dostojnych tych panów zesępione były! Herman poziewał, nudziło mu się.

Przybywający Zygard, mrucząc, doniósł, iż Teodoryk upiera się stać pod tą lichą osadą.

Elbląski poruszył ramionami.

— Gonimy widmo jakieś — rzekł. — Królik ten mały nie ma najmniejszej ochoty spotkać się z naszemi włóczniami — ani go widać, ani słychać. Polski nasz pan palatyn pierwszyby go zwąchał, bo się lęka dostać w jego ręce, a ten zaręcza i przysięga, iż w okolicy znowu go niema... poco my się jeszcze tu włóczymy?

Albert, komtur Gdański, figura bardzo dostojna, wielkiego rodu, wielkiej dumy — obejrzał się po równinie.

— Prawda, że tu miejsca dosyć, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile my go mamy — rzekł, — ale stać w tym błocie nie jest rzeczą wielce przyjemną.

— Mistrz rzekł! — skłaniając głowę trochę szydersko, ozwał się Zygard.

— Ani ognia prędko nanieció nie będzie z czego — rzekł Albert — ani wody czystej tu dostać.

— Niema innego sposobu, tylko — rzekł Elbląski — do tej wioski, która już pusta być musi, lub za chwilę nią być powinna, słać i kazać te chałupy rozbierać.

Wioska w istocie, widna w pewnem oddaleniu, tak wyglądała nędznie, iż ledwie się z niej opału można było spodziewać. Z wyjątkiem chaty sołtysa, reszta na pół siedziała w ziemi. Oddział krzyżacki już się tam kręcił, szukając ofiar, ale ludność zbiegła wcześnie. Znaleźli dwóch starców bezsilnych, jednego w lepiance na barłogu, drugiego siedzącego na przyźbie z tą obojętnością na śmierć, jaką daje późny wiek. Zabił jednego żołdak, wbiwszy mu w serce włócznię, drugiego na płocie uwiązano rozkrzyżowanego, aby dogorywał powoli. Były to zwykłe igraszki żołdaków. Młodsi skarżyli się, że dla lepszej sprawy nie znaleźli niewiast... i dzieci.

Wieś była jak wymarła, ludzie w lesie, bydło i konie z nimi.

Kupka naszych dostojnych rycerzy stała jeszcze na małym wzgórku, czekając rozbicia namiotów, gdy w pewnem oddaleniu ukazał się polski oddział wojewody, szukając miejsca dla siebie. Był on przedmiotem ciągłego szyderstwa Niemców. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprzężony pochodami, mniej karny, stawił się inaczej, choć mu na bucie nie zbywało. Wedle pojęć niemieckich, nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem z otoczeniem swem dosyć strojno i lśniąco jechał wojewoda, u boku jego Dobek i Włostek.

Wincz, który przez czas dosyć długi miał oblicze osowiałe i smutne, teraz spoglądał raźnie, śmiało i czoło niósł do góry. Zygard to spostrzegł.

— Patrzcie no — szepnął — jak odżył Polak, upewniwszy się, że się z królem nie spotka! Dopiero od dni niewielu w oczy patrzy śmielej.

— Nie cierpię tego człowieka — odezwał się Elbląski; — nie zawinił mi nic, ale jak dla psa, sam zapach i kształt kota jest odrażliwy, tak dla mnie każdego Polaka; tego zaś więcej, niż innych.

Rozśmieli się inni.

— I ja ich nie znoszę — dodał Gdański; — barbarzyńcy są, a chrześcijan udają, wolę już Prusaków.

Wojsko polskie szło luźno, spoglądając na Krzyżaków z ukosa. Milczano w szeregach, lecz było to jakieś znaczące i wymowne milczenie ludzi, zmuszających się do krycia tego, co się w duszy ich działo. Milczeli — ale twarze ich mówiły; ktokolwiek z nich sądził, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty okazywał wstręt, na widok Niemców posunięty do wybuchu. Starszyzna hamowała surowemi wejrzeniami i mało znaczącemi ruchami, nakazującemi milczenie.

Nie mając nic do czynienia Krzyżacy sprawiali jakby przegląd przechodzącego oddziału. Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szeptali, pokazywali sobie palcami odartszych i mniej pozornych, u których często nie było całej zbroi i oręż bardzo lichy.

Komturowi Elbląskiemu, który twarz zawsze układając poważną, drwić lubił — zachciało się zaczepić Wincza, który unikał wejrzenia na stojących gromadką rycerzy. Nie mógł wytrzymać i głosem tym, w którego powadze pozornej przebrzmiewało szyderstwo — zawołał:

— Pozdrawiam palatyna!

Wincz skłonił głową bez odpowiedzi i chciał iść dalej.

— O króliku nic nie słychać? — zagadnął Herman.

— Niema go — odparł wojewoda — możemy spać spokojnie.

— Nigdy on nam snu nie psuł — rozśmiał się Herman, — lecz zawsze bezpieczniej jest wiedzieć, że nam nie przyjdzie dać dzień dobry.

Słowa te, wystosowane do wojewody, usłyszał Wincz i zatrzymał się nieco. W oczach mu zaświecił ognik jakiś, błysk — niby także szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko, jak to, które marszałek wiedzie — rzekł — nie ma się co lękać tego krakowskiego panka, to pewne; jednakże ten człeczek czasem bywał szczęśliwy, a zawsze zręczny. Nie można go lekceważyć.

— Szczególniej wy, co go lepiej znacie, nie możecie, jak my, niewiele się oń troszczyć — odparł Elbląski. — Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali; uchodzić umie — to prawda.

— A w wojnie i to sztuka — odezwał się wojewoda.

— Niewiele czci przynosząca — dodał komtur Gdański.

Wojewoda spojrzał dokoła i zagryzł usta.

Dotąd milczący stary rycerz zakonu, Maks von Hohlburg, który się wsławił męstwem osobistem, mruknął jakby mimowolnie:

— Nie chciałbym ja teraz się z nim spotykać. Żołnierz dzielny i wódz przebiegły, a nasze rycerstwo znużone włóczęgą, dobywaniem miastek, prawdę rzec, i łupieżą — ociężałe jest.

Zamknięto mu wnet usta, bo nie chciano, by wojewoda to słyszał.

Wincz, którego część oddziału już przeciągnęła, powlókł się za nim.

— Co wy mówicie! — ofuknął go Elbląski. — Nasz żołnierz znużony i znudzony więcej zawsze wart od ich świeżego. Nigdy i w żadnym razie on nam nie straszny! Nigdy! Patrzyliście na ten oddział wojewody; tacy oni wszyscy. Lud jak lud, ale oni oręża, ani sztuki wojskowej nie mają.

Maks siwą brodę pogładził.

— Nie należy — dodał — nigdy nieprzyjaciela lekceważyć.

Herman rozśmiał się i splunął.

— W jednym tylko razie straszni nam być mogą; gdyby ich dziesięć razy tyle było co nas; Litwa, Prusacy, i oni tylko kupą i nawałem złamać nas potrafią.

Maks coś zamruczał, wąsa zakąsił, sprzeczać się nie chciał.

Dokoła powstał ruch ogromny; wbijano drągi, rozciągano sznury, ustawiano żłoby dla koni, wyprzęgano wozy. Obożni biegali, każdemu pułkowi naznaczając granice. Ciury z niezbyt odległej wsi wlokły już drzewo z chatek, chróst i pozrębywane na ognisko sprzęty.

Wtem ukazała się wśród obozu postać, która zwróciła uwagę starszyzny. Był to żebrak z krzywą głową i złamanym grzbietem, który z trudnością podnosząc nieco oczy, rozglądał się wokoło i wlókł nogami, idąc z ciężkością wielką.

Skąd się on tu wziął i jak go puszczono bezkarnie, jak uszedł napaści i okrucieństwa żołnierskiego, trudno było pojąć, gdyż z sukni widać było, że do polskiego plemienia należał — a temu nie przebaczano. Kalectwo chyba może dawało mu tak bezkarnie błądzić. Zdawał się nie lękać wcale tych obcych twarzy i mowy, i z nieświadomością niebezpieczeństwa rękę kiedy niekiedy wyciągał. Stanął — szukał czegoś oczyma... zobaczył namiot czerwony, którego ściany właśnie się rozwijały, a przy nim obok wiała wetknięta w ziemię chorągiew zakonu. Skierował się w tę stronę, lecz powolnie bardzo.

— To Zbik — szepnął pocichu komtur Elbląski — innyby się tu nie odważył! Służy nam!

Patrzyli nań.

Zbik, ujrzawszy marszałka, który z kompanami stał przed namiotem, podszedł ku niemu.

Jeden z towarzysów Teodoryka, na dany przezeń znak, rzucił mu jałmużnę. Można się było domyślać zdala, iż słów kilka zamieniono pośpiesznie.

Żebrak, mrucząc ciągle, głowę nosząc skrzywioną, powlókł się na miejsce puste nieopodal, kląkł na ziemi i z trudnością się położył.

Namioty stały tak, że pomiędzy niemi małe uliczki pozostawiano. Jedna z nich wprost wiodła do oddziału polskiego, tak, że żebrak mógł być przez nich widziany.

Ciemniało powoli, rycerze rozjeżdżali się zwolna każdy do swojego namiotu, aby zbroje złożyć i odetchnąć. Na żebraka nie patrzał nikt. Ciury zajęte były rozpalaniem ogni i gospodarstwem koło wozów.

Zbik, poleżawszy na ziemi, podniósł się zwolna, ostrożnie i na kiju sparłszy, iść zaczął. Zdawało się, że błądzi, lub niedowidzi, snuł się tu i ówdzie — powracał. Jakby przypadkiem znalazł się w ciasnej uliczce i w niej zniknął.

Obóz polski dnia tego leżał na skraju; stanowił on piąty oddział wojska, którego były oprócz niego cztery hufce. Wojewoda wyznaczonego sobie bagnistego gruntu nie przyjął, z obożnymi się skłócił i nieco opodal położył, zgromiwszy ich, że w błocie ludzi kłaść nie będzie.

Mały niepoczesny namiot już był gotów, lecz wojewoda na tę noc nic z wozów zdejmować nie kazał, nic dla siebie nie znosić. Rzucono garść słomy dla niego. Niecierpliwy był, ogni kłaść wzbronił, zbroi zdejmować zakazał, chodził, nie zdając się potrzebować spoczynku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Taka sobie baśń.

Przybyła do wsi z obcych dalekich stron, z dalekich — gdzie inni ludzie, inne zwyczaje i stosunki. Jakiś wiejski parobczak Michał Tomera zabłądził w dalekie strony, aż po Nowy Targ, tam poznał się z czarnowłosą i śniadą dziewką górską, co stada pasała na halach, zakochał się w niej, a po ślubie przywiózł ją do rodzinnej wioski.

Michał, chłop pracowity, cichy, będąc rzemieślnikiem zarabiał dobrze i mógłby mieć szczęśliwe życie beztroskie, ale niestety zatruwała mu je żona. Sam kochając żonę ulegał jej we wszystkiem, stał się **bezwolnym i to stało się początkiem tragedji rodzinnej.**

Oboje żyli w domku maleńkim, starym, chylącym się ku upadkowi, a który zakupił Tomera z zaoszczędzonych pieniędzy. Michał od świtu do zmroku robił wozy, koła i inne narzędzia rolnicze. A żonka mało w domu przebywała, chodziła zwykle po sąsiadach i puszczała plotki, obmawiała przed drugimi dopiero co poznane sąsiadki.

Minęło lat kilka. Tomerowie dochowali się dzieci. Mieli chłopca 5-letniego Edka i starszą od niego Jankę. Dzieci chodziły brudne zaniedbane, bo matka mało o nie dbała. Ona kochała się w sądach. Wniosła do spokojnej wsi ferment niezgody i zawiści. Sama stała się znienawidzoną przez spokojnych, a szkalowanych przez nią mieszkańców. Aż przebrała się miarka.

Kilkakrotnie została nawet pobita przez sąsiadki Rozpoczęły się sądy, które od tego czasu poczęły jak pijawki ssać krwawicę ciężko zapracowaną Michała.

„Czarna gorolka", jak ją powszechnie zwano, pokolei wciągała innych w sądy o byle słowo, o błahą rzecz. A pieniądze krwawo zapracowane przez męża płynęły strugą do kieszeni adwokatów. Powoli tracił zdrowie, zapracowywał się ciężko, bo w nocy pracował w kopalni, a w dzień w domu. Nie miał siły narzucić żonie swej woli, bał się języka, którym codziennie wieczorem pytlowała na sąsiadów, sypiąc przekleństwami.

Ale najgorzej już było z dziećmi. Matka sama nauczyła je przekleństw, wyzwisk i nakazała im napastować sąsiadów. Ach! jak smutny to był widok, kiedy dzieci ukazywały sąsiadom języki, i inne części ciała i rzucały na nich wyzwiskami. Sąsiedzi zaciskali zęby i milczeli, mocując się ze samymi sobą, aby nie wypaść z równowagi i nie uderzyć zepsute, zdemoralizowane dzieci. Atmosfera stawała się nader ciężka i czuli wszyscy, eż nastąpi jakieś straszne rozwiązanie.

Szczególnie wielki apetyt miała przewrotna Tomerowa wciągnąć do sądu sąsiadkę Żbońską, kobietę spokojną, która jeszcze nawet nie była nigdy w sądzie, bo obawiała się strat i zawsze mawiała: „Lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces". Prowokowana przez Tomerową milczała i popłakiwała zcicha, polecając swe krzywdy Bogu. Żbońska miała liczną rodzinę i nie chciała trwonić zarobku męża. I tak znosząc zniewagi czekała, co dalej nastąpi.

Aż wczesnym mroźnym jesiennym rankiem usłyszano u Żbońskich jakieś krzyki. Wybiegli tedy i ujrzeli to, co oddawna się stroiło. U sąsiadów Gufirów na oborze jakaś bójka.

Oto Tomerowa wczesnym rankiem szła z lasu z brzemieniem pościeli i chcąc sobie skrócić drogę, chciała przejść przez oborę Gufirów. Na to tylko czekała Gufirowa. Zaledwie żona Tomery weszła, ta zatarasowała jej drogę, i zabroniła przejścia. Tamta chciała przejść przemocą i rozpoczęła się bójka.

Po trzykroć obalona z brzemieniem na ziemię, wstawała i walczyła zażarcie. Wkońcu nie mogąc zdzierżyć, krzyknęła: Michaś! Michaś! na pomoc! Nadbiegł mąż, ale i jego pomoc nienawiele się zdała. Gufirowa pomściła się za krzywdy. Bójka zelektryzowała całą wieś. Snuto domysły i wiedziano, że się to jeszcze nie skończy.

Sprawa znalazła swój epilog w sądzie. Raz wygrywała, raz przegrywała ta i owa strona, a proces ciągnął się zażarcie, a koszta sądowe rosły. U Tomery zaczęła się nędza. Michał widząc to gryzł się i w oczach marniał. Odświeżyły się dawne choroby i rany z czasów wojny i po krótkiej chorobie zmarł, przeklinając żonę, co zatruła mu życie.

Pogrzeb był nader ubogi i za pożyczone pieniądze. Ludzi było wiele, bo mimo wszystko żałowano skromnego i cichego Michała. Tylko na wdowę spoglądano nienawistnie, bo wszyscy wiedzieli, że ona swem postępowaniem zgotowała mu śmierć.

Rok trwało zawzięte procesowanie. Tomerowa żyła w ostatecznej nędzy, a lichwiarze poczęli coraz częściej stukać we drzwi po pieniądze.

Nadomiar złego wyrok sądowy wypadł niekorzystnie dla wdowy. Sprzedawano jej domek i ziemię za długi. Nieszczęśliwa teraz poznała swoje postępowanie, ale już było zapóźno, trzeba już było spożywać owoce swej działalności.

A po wsi ktoś rzucił hasło: Wyrzucić przybłędę! Precz z nią ze wsi! Precz z „czarną gorolką!"

Wszyscy uprzytomnili sobie krzywdy doznane i zawziętość buchnęła do serc chłopskich jak fala. Z natury dobroduszni ludzi, pod wpływem nienawiści stali się nawet nieludzcy.

Zebrały się migiem tłumy ludu. Szli jedni, aby się pomścić za krzywdy, inni zaś z ciekawości. Tomerowa na widok tłumu zadrżała i zamknąwszy się w mieszkaniu krzyczała ze strachu:

— Mościewy!... Darujcież... przebaczcie...

Ale zapóźno były u niej łzy żalu i skruchy. Wyłamano drzwi i wtargnięto do izby. Ona broniła się zawzięcie, drapała, gryzła, kopała, ale wnet ją związano i wyprowadzono. Mimo jej oporu wsadzono ją na taczki z gnojem razem z dziećmi. Drwiono z niej, śmiano się i urągano, ale nie czyniono jej nic złego. Już chciano ruszyć, gdy z tłumu wystąpił starzec, patrjarcha całej wioski i zawołał:

— Stójcie! stójcież! — a zbliżywszy się rzekł: Ha! nareszcie opuścisz wioskę kobieto! Chciałaś wlać w nas nienawiść, niezgodę przez swoje przeklęte plotkarstwo i postępowanie. Nie będziemy cię karać, chociażeś na to zasłużyła, ale ukarzą ciebie własne twe dzieci, których dusze jużeś zatruła! A teraz precz z naszej wsi! precz!

Schwycono za taczki i wśród łajania i wyzwisk wywieziono ją za wieś i pod kaplicą wyrzucono, zakazując surowo powracać do wsi.

Tomerowa przez chwilę leżała bezwładna, jak kloc drzewa, ale potem ruszyła ociężale w świat, wiodąc za sobą płaczące przestraszone dzieci.

I szła wstydem i hańbą okryta, sponiewierana. I szła dręczona sumieniem...

I szła w świat daleki, nieznany, straszny, ścigana przekleństwem ludzkiem.

Co się z nią naprawdę stało, niewiadomo. Tylko ludzie opowiadają, że ciężko pracując, sama w nieznanem miasteczku chciała zapracować na chleb. Opowiadają, że z rozpaczy za łajdactwa popełnione przez jej dzieci, utopiła się, a dzieci zamieszkują stale w więzieniu. Sprawiedliwości stało się zadość.

Ludwik Dubiel.

Uroczystości w Dukli.

W dniu 6 b. m. rozpoczęły się w kościele OO. Bernardynów w Dukli uroczystości jubileuszowe dwóchsetnej rocznicy beatyfikacji błogosławionego Jana



Blog. Jan w domu rodziców daje jałmużnę ubogim.

z Dukli, które potrwają do dnia 10 b. m. włącznie.

Błogosławiony Jan urodził się w roku 1414 w Dukli, miasteczku, położonem na słynnej przełęczy, przerzynającej Karpaty w powiecie krośnieńskim, a łączącej niegdyś Węgry a dziś Czechosłowację ze środkową Małopolską. Miasteczko to było dawniej bardzo zamożne, gdyż wspomnianą przełęczą szedł trakt komunikacyjny i handlowy. Przez Duklę przejeżdżały bogate transporty i karawany kupieckie, zdążające z Węgier do Polski lub z Polski do Węgier. To wpływało dodatnio na rozwój miasteczka i stan materjalny jego mieszkańców. Zdaje się, że i rodzice błog. Jana, Jan i Katarzyna należeli do ludzi zamożnych.

Młody Janek wzrastał pod okiem bogobojnych rodziców w pobożności i cnocie. Chłopak swą pilnością wzbudził uwagę w szkole miejscowego księdza proboszcza, który poradził rodzicom, aby oddali Jasia do szkół w Krakowie. Tak się też stało.

Jan po ukończeniu szkół krakowskich opuścił mury wielkiego miasta, kierując swe kroki ku rodzinnym stronom. Idąc, rozmyślał nad znikomością świata i postanowił poświęcić się wyłącznie Bogu.

Ale jak, nie umiał sobie zdać z tego sprawy. Aby więc poznać wolę Bożą, zamiast w progi rodzinne, udał się na puszczę góry Cergowej, a potem Zaśpitu. Trzy lata tam spędził, wpatrzony w czyste lazury nieba, wsłuchany w żałosny poszum sosen, świerków i jodeł.



Błog. Jan na puszczy.

Tam coraz bardziej odrywał isę od świata, a myśl swoją wznosił ku Bogu. Ale i on wkońcu zatęsknił za rodzicami, których widział jeszcze przed wyruszeniem z Krakowa. Opuścił więc pustelnię i skierował się poprzez las do Dukli... do domu rodzinnego. Z bijącem sercem stanął u drzwi i poprosił o kawałeczek chleba, tego czarnego chleba, którego tak wielką ilość rozdał ubogim, jako małe chłopię. Matka, zajęta w tej chwili przy pieczeniu, zniecierpliwiona, nie przypuszczając, że to jej dziecię przed nią stoi, ofuknęła go gniewnie i odprawiła z niczem. Jan, nie wymówiwszy ani słowa, wyszedł z izby i napisał pospiesznie na drzwiach takie słowa: „Był tu wasz syn, Jan, prosił o kawałeczek chleba, a wyście mu go nie dali..." — i znikł z powrotem wśród gęstwiny leśnej.

To rozstrzygnęło o dalszych jego losach. Poznał, że Bóg wzywa go, aby porzucił ten świat ostatecznie, a oddał się w zu-



Kazanie błog. Jana do schizmatyków.

pełności służbie Bożej. Opuścił Cergowę i Zaśpit, gdzie przez trzy lata wiódł życie pustelnicze, gdzie tyle słodkich chwil spędził na rozmowie z Bogiem... Po dzień dzisiejszy wskazują jeszcze dwa źródła, jedno na Zaśpicie, a drugie na Cergowej, u których błogosławiony pustelnik gasił swe pragnienie, a które odtąd nabrały cudownych własności.

Opuściwszy pustelnię swoją, świątobliwy młodzieniec udał się do Krosna do OO. Franciszkanów z prośbą o przyjęcie do zakonu. Ponieważ był im znany, nie robiono mu żadnych trudności i z listami polecającemi odesłano go do Lwowa. Tu-

taj otrzymał habit, tu odbył nowicjat, w czasie którego wystawiono go na różne próby, aby się przekonać, jaki duch nim kieruje. Po roku nowicjatu złożył z wielką rozkoszą śluby zakonne.

W owym czasie w zakonie Franciszkanów powstał rozłam na dwa kierunki: łagodniejszy i ostrzejszy, co doprowadziło wkońcu do dwóch oddzielnych zakonów św. Franciszka. Ci, co obrali kierunek ostrzejszy, nazwąli się OO. Bernardynami, ci zaś, którzy byli zwolennikami kierunku łagodniejszego, zachowali nazwę OO. Franciszkanów. Błog. Jan przyłączył się do OO. Bernardynów i pozostał wśród nich nazawsze.

Zaszczepiony na niwę polską zakon OO. Bernardynów zdobył sobie w krótkim czasie ogromną popularność i poważanie u wszystkich sfer, tembardziej, że kwitł w nim duch Boży. Niedługo po fundacji krakowskiej powstają nowe klasztory po większych miastach Polski, jak w Warszawie, Poznaniu, Wilnie i Lwowie, w którym właśnie osiedlił się na stałe błog. Jan z Dukli. Tu błog. Jan zasłynął na cały świat ze swej świątobliwości, tu założył on również zakon żeński SS. Bernardynek.

Nietylko ze świętości i światłości w kierowaniu dusz słynął błog. Jan, ale zdobył też sobie imię znakomitego i natchnionego kaznodziei. Kiedy w roku 1472 papież Sykstus IV polecił wyznaczyć kaznodziei do nauczania rozmaitych odszczepieńców od wiary katolickiej, misję tę we Lwowie powierzono O. Janowi. Pomimo sędziwego wieku jął się święty ten mąż z młodzieńczym zapałem tej trudnej, choć zaszczytnej pracy. Lwów ówczesny skupiał w sobie różne narodowości i różne religje. Chcąc odpowiedzieć zadaniu, trzeba było mówić kazania w kilku językach. Błog. Jan miewał kazania w języku polskim, ruskim i niemieckim. W kazaniach swych gromił błędy, wytykał wady, wskazywał prawdziwą wiarę, podnosił serca ku Bogu.

Najmilszem jego zajęciem było nawracanie schizmatyków. Nie dość, że czynił to w kazaniach, uczęszczał jeszcze do ich domów, gromadził koło siebie, uczył, przekonywał, z Kościołem jednał. Tysiące schizmatyków sprowadził tym sposobem na łono katolickiej wiary. Popi schizmatyccy, widząc, jakie triumfy odnosi ten niepospolity kaznodzieja, urągali mu, odgrażali się, czynili zasadzki, ale błog. Jan nic sobie z tego nie robił, gdyż gotów był nawet krew przelać dla wiary katolickiej. Ale choć był w niełasce u popów schizmatyckich, to cieszył się wielką wziętością u schizmatyków Rusinów.



Kościółek na puszczy w Dukli.

Ale nietylko z samych róż było uwite życie błog. Jana. Były w niem ciernie, które dotkliwie nieraz godziły w jego serce. Przedewszystkiem na starsze lata utracił całkowicie wzrok. Oprócz tego dokuczały mu inne jeszcze choroby i cierpienia. Święty jednak mąż nie szemrał, nie narzekał na swój los. Modlił się,



Obrona Lwowa przez błog. Jana z Dukli.

a wśród gorliwej modlitwy chwilami odzyskiwał w cudowny sposób wzrok.

Po cnotliwem i tak owocnem życiu, licząc lat 70, w sam dzień św. Michała Archanioła oddał ten świę



Kościół OO. Bernardynów w Dukli.

ty mąż swoją duszę Bogu. Stało się to w roku 1484. Ciało błog. Jana spoczęło w zwykłym grobie w chórze zakonnym we Lwowie. Po jego śmierci mnożyły się liczne cuda z dnia na dzień, a były nieaz niezwyłe i zdumiewające. Wieść o tych cudach obiegła wnet całą Polskę i przedostała się za jej granice. Wskutek starań Polaków i arcybiskupów lwowskich, królów polskich, senatorów i duchowieństwa Ojciec święty ogłosił w r. 1733 O. Jana błogosławionym.

Ciekawe jest bardzo opowiadanie, związane z osobą błog. Jana. Było to w roku 1648. Samozwańczy hetman Zaporoża, Chmielnicki, zebrawszy krocie kozactwa i uzyskawszy pomoc tatarską, odnosił nad Polakami jedne zwycięstwa po drugich. Żółte Wody, Korsuń, Piławce, to znane nam dobrze z powieści Sienkiewicza miejsca polskich klęsk, a kozackich triumfów. Najstraszliwszą z tych była klęska piławiecka, która otworzyła Kozakom wrota w głąb Rzeczypospolitej. Jakoż runęła cała ta lawina w głąb Polski i znalazła się przedewszystkiem przed Lwowem, opasując go naokół żelaznym pierścieniem. Położenie Lwowa było straszne, gdyż nieprzyjaciel spadł nagle, a Lwów do obrony nie był przygotowany. Nie poddawali się jednak Lwowianie, lecz rozpoczęli bohaterską obronę. Mimo jednak całego poświęcenia nieprzyjaciel dostawał się już na mury miasta. Nagle nadeszła niespodziana pomoc. Błogosławiony Jan z Dukli zaatakował nieprzyjaciół z przestworzy podniebnych. Nie uczynił tego ani bombami, ani granatami, ale siłą blasku swojej chwały, jakby jakimś potężnym reflektorem, oślepił wrogów. Skutek był nadspodziewany... Chmielnicki od oblężenia odstąpił i odszedł od Lwowa. Z wdzięczności Lwowianie wystawili obrońcy swemu pomnik, umieszczając na wysokiej kolumnie postać błog. Jana z rozkrzyżowanemi rękami.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Sahara III.

Jedną z najciekawszych oaz na Saharze jest oaza In-Salah. Ludność jest tam nieliczna, gdyż wynosi zaledwie około 2.000 dusz. Mieszkają tam Arabowie, Berberowie i Murzyni. Obyczaje ich są łagodne, oddają się rolnictwu, o handel mało dbają. Mieszkają stale na oazie, mała tylko ich część zimuje na pastwiskach w Mander Suf.

Zanim Francuzi byli tu zdobywcami, dwa pokolenia: Uled-Ba-Hammu i Uled-Mokhtar zacięty wiodły spór o pozyskanie większego wpływu. Gdy pewnego razu potrzeba kraju wymagała, zebrali się ludzie wpływowi obu pokoleń, ażeby po naradzie postanowić coś korzystnego i wówczas zwyciężyło zdanie Ba-Dżiuda z pokolenia Ba-Hammu, cieszącego się największym wpływem. Od tej pory rodzina ta stała się głośną. Posiadała jeden ksar i kasbę, nie różniącą się od innych, bo z wyjątkiem obronnej fosy otaczały ją mury ząbkowane i wieże. Na jej to szczycie kapitan Germain i Pein zatknęli poraz pierwszy sztandar francuski na tej ziemi 28 grudnia 1899 roku po bitwie pod Igostenem. Dziś są jeszcze wewnątrz szczątki z domu, ale tylko kozy i wielbłądy bawią się tam spokojnie pod okiem swego opiekuna. Obecnie ma ona tylko wartość historyczną.



Szpital św. Elżbiety w San Cipriano.

Po francuskich podbojach zastąpiono kasbę obozem „Bugeaud", wzniesionym na wyniosłości, panującej nad płaszczyzną. Rozległe obozowe zabudowania postawiono z cegły suszonej w słońcu. Rzadkość deszczu zapewnia trwałość murom, dającym pewną osłonę przed wszelkiemi napaściami.

Ażeby objąć wzrokiem panoramę In-Salah, wystarczy wyjść na szczyt jednej z wież w obozie. Na pierwszy plan występuje linja ksur, następnie wydmy piaszczyste, wreszcie oazy, których ciemna, gęsta zieloność daje widokowi ciemną plamę. Za oazami na zachód poczyna się sebhka ze swemi kryształami solnemi, które w słońcu błyszczą, jak miljony brylantów. Dalej wielka, niczem nie przerwana równina.

In-Salah obejmuje jedną oazę i dziesięć ksurów, oddzielonych od siebie. Z tych trzy: Deransza, Sahel i Barka



Karawana arabska na Saharze.

są odosobnione, zaś siedm innych tworzą grupę w kierunku północno-południowym. Układają one się stopniami na spadzistości, która w łagodnem pochyleniu idzie do wyniosłej płaszczyzny oazy. Ogólny ich kształt jest trójkątny, podstawa trójkąta równa się z wyniosłością płaszczyzny, której szczyt jest naprzeciw oazy.

Wiatry idą głównie od wschodu i uderzają o dół trójkąta, nagromadzają piasek u podstaw domów, równają się z poziomem terasy i zawalają przejście do drzwi. Mieszkańcy muszą codzień odgarnywać piasek; jednak często, widząc bezskuteczność pracy, zabudowują się w niższej części ksaru, wybierając miejsce pośród innych budynków, ażeby te były im osłoną. W pierwszej chwili rozległe wsie robią wrażenie bardzo zaludnionych, ale przypatrzywszy się im bliżej, widzi się mnóstwo domów, pustką stojących, szczególnie położonych u podnóża trójkąta.

Siły atmosferyczne: zimno, gorąco i wiatr niepokoją bezustannym ruchem grunt, którego składem jest żwir i glina, łatwo ścierająca się w proch. Wiatr unosi wysoko, czasem na znacznej przestrzeni lotne części żwiru i gliny, zaś części cięższe i zwarte, jak krzemienista ziemia, unoszą się znacznie niżej, tu wstrzymują je domy wiosek i palmy ogrodów, niepowstrzymane części gromadzą się na brzegach oaz, a zasypując tam pierwsze palmy, tworzą wały piasku i te wały zwą się wydmami ochronnemi. Na szczytach wydm gałęzie palm tworzą rodzaj kosza i lecący piasek, napotkawszy je, zostaje tam uwięziony. Takie kosze mają podwójny cel: wstrzymują lecący piasek i zapobiegają rozsunięciu się szczytów.

Na tej niewielkiej oazie o szerokości 200 do 1.400 metrów, a długiej 6 kilometrów, żyje, jak powiedzieliśmy, niespełna 2.000 mieszkańców, na których czeka olbrzymia praca, gdyż jest tam około 100.000 palm, które trzeba codziennie podlewać. Wprawdzie władze francuskie wybudowały im tam trzy studnie artezyjskie, które wyrzucają na minutę do 1.600 litrów wody, ale wszystko to zamało, gdzie woda ta momentalnie wsiąka w ziemię, lub wskutek gorąca zamienia się w parę.

W oazie In-Salah uprawiają bardzo dużo cebuli. Jest tam tyle cebuli, co i daktyli. Wszystko jedzą z cebulą. Oto naprzykład ich najsmaczniejsze, świąteczne jedzenie: Mąkę rozczyniają na solonej wodzie, a uzyskane ciasto pieką na popiele, a kiedy sucharek jest upieczony, łamią go jeszcze gorący w drobne kawałeczki, a zmieszawszy je z daktylami, tłuką na miazgę, dodają dużo cebuli, polewają roztopionym łojem i znów mieszają tak długo, aż stanie się to jednolitą masą. Gdy ostygnie, zajadają to z największym apetytem.

Na zakończenie niniejszego artykułu podajemy dwa obrazki. Pierwszy z nich przedstawia szpital katolicki św. Elżbiety na jednej z oaz saharskich, drugi karawanę arabską w podróży przez Saharę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. MOKRZYCKI.

TRUCICIELKI.

Powieść kryminalna z 18 stulecia.

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

To rzekłszy, pożegnał się i wyszedł, a zbiegając szybko po schodach, mruczał pod nosem:

— A jednak jestem przekonany, że ona jest zbrodniarką...

Tego samego dnia zabrał Ogiński rzekomą córkę, wraz z jej rzekomą towarzyszką i wychowawczynią Madame de Foljer oraz służbą i rzeczami do swej willi i wieczorem sprosiwszy znajomych, wyprawił ucztę na cześć odzyskanego „dziecka", które wszystkim znajomym chciał zaprezentować. Uczta trwała do późna w noc, a gdy goście się rozeszli, Elfryda udała się do pokoju, który wyznaczono jej matce. Tu oczekiwała już na nią baronowa, leżąc na wygodnej otomanie.

— Jakże się czujesz, moje dziecko? — zapytała, gdy Elfryda usiadła obok.

— Doskonale „Madame" — zaśmiała się szyderczo Elfryda. — Myślałam już jednak, że będzie źle. Ten komisarz coś zanadto wąchał. Lecz teraz z pewnością nie śmie tknąć córki Ogińskiego. Niechże sobie szuka dalej baronówny von Weygen, a ja tymczasem korzystać będę z mająteczku kochanego tatusia. Ha! ha! ha! czy to nie wyborne? Nieprawdaż „Madame?"

— Śmiejesz się, moje dziecko, że ci tak wszystko dobrze poszło. No, na ten raz wszystko się udało, lecz gdy kiedykolwiek ktoś nas tu pozna, co wówczas będzie?

— Myślałam już i o tem. Narazie nie osiągłam jeszcze mojego celu. Jestem córką magnata Ogińskiego, o tem cały Paryż najdalej jutro z „Journalu" się dowie, lecz to jeszcze zamało. Nie mogę narazie sięgnąć do jego kasy, kiedy zechcę. O każdą rzecz muszę niestety prosić, czego bardzo nie lubię. Nie zamierzam tedy długo „kochanego" papy pieścić i głaskać mu jego obmierzłych wąsisków. Trzeba się go pozbyć jak najprędzej, lecz nie prędzej aż odzyskam fortunę drogiej „mamusi", gdyż stary będzie mi w procesie potrzebny. Zresztą na każdy wypadek, gdyby się ze starym nie powiodło, dobrze będzie mieć pieniądze, aby było za co drapnąć. Po dokonaniu wszystkiego, nie chcę ani dnia w Paryżu siedzieć. Wówczas pojedziemy, gdzie pieprz rośnie, choćby nawet za morze. Wprawdzie żal mi niezmiernie Paryża, lecz mając pieniądze, można żyć równie dobrze nawet w Petersburgu czy Moskwie.

— Pewnie — potwierdziła baronowa — wyniesiemy się stąd, gdyż coś mnie niepokoi. Jeśli Nils potrafił nas odszukać, to może także ktobądź poznać nas i zdradzić, zwłaszcza, że teraz w Paryżu znajduje się dużo Polaków, emigrantów z Inflant.

— Lecz najniebezpieczniejszy wróg już nie istnieje, więc z innym pół biedy. Jednak obecnie trzeba się nieco mniej pokazywać, a również spieszyć z załatwieniem reszty.

Po paru dniach rozpoczęła czynić zabiegi o odzyskanie majątku „matki", co jednak napotykało na poważne trudności z powodu zaginięcia aktów sądowych, odnośnie do p. Landre.

W willi na Polach Elizejskich życie płynęło im rozkosznie. Prócz wspaniałych, bogatych strojów, jakich nigdy przedtem nie miała, teraz były do jej dyspozycji konie i powóz, jakich żadna hrabina paryska nie posiadała. Ogiński nie szczędził pieniędzy rzekomej córce, a pamiętał równocześnie o jej „opiekunce", która również opływała we wszystko.

Jednak, jak to powszechnie mówią, że „dobrego niedługo na świecie", tak też i tam po paru miesiącach rozkosznego życia, zaszedł wypadek, który im spokój zamącił.

Brzeski, przedarłszy się do Francji wraz z swymi ludźmi, wstąpił do Legjonów Polskich i w pułku szwoleżerów odwagą i męstwem dosłużył się wkrótce rangi rotmistrza i ruszył wraz z wojskami Napoleona przeciw Hiszpanom. W pamiętnej, wiekopomnej szarży na Somo-Sierra został ciężko ranny i niezdolny do dalszej walki. Dowlókłszy się do jakiegoś lazaretu, został podleczony i po niejakim czasie dostał się do Paryża.

Pewnego dnia Elfryda, spacerując po lasku Bulońskim w towarzystwie młodego markiza de Poncier, spostrzegła go siedzącego na ławeczce, czytającego gazetę. Szczęściem zajęty był gazetą i nie spostrzegł jej.

Natychmiast zaniechała dalszego spaceru i wymówiwszy się markizowi bólem głowy, powróciła szybko do domu.

— Co teraz robić? — myślała. — Gdyby chociaż proces o majątek p. de Landre był ukończony, miałaby majątek, który starczyłby jej na wyjazd za morze i urządzenie sobie tam wygodnego życia. Tu, w Paryżu, każdy dzień przynosił jej nowe niebezpieczeństwa. Mogłaby żyć niepoznana w Paryżu, lecz musiałaby utonąć wśród gawiedzi, apaszów i wszelkich szumowin paryskich, a tego nie chciała. Ją nęciło życie wśród arystokracji, wśród ludzi najwyżej postawionych, a w szczególności wśród ludzi, opływających we wszystko, co tylko fortuna dać może. Przed paru miesiącami zapomocą trucizny pozbyła się niebezpiecznego człowieka, który mógł popsuć jej plany, obecnie dochodzi do szczytu swych marzeń — już — już, spodziewa się zagarnąć majątek, który raz wziąwszy w swe ręce, mogłaby drwić z całego świata, gdy nagle zjawia się nowy wróg, tem groźniejszy, że już raz z jej sideł się uwolnił, a zatem poraz drugi nie pozwoli się w nie oplątać. Wprawdzie nie widział jej jeszcze i z pewnością nie wie o jej tu bytności, lecz niepodobna nawet przypuścić, by go można było uniknąć, choćby ze względu na jego z Ogińskim znajomość. Ponadto sprawa otrucia Nilsa Andersona za świeżą była jeszcze w pamięci Paryżan, by mógł się o niej nie dowiedzieć, a wówczas zostałby upewniony, że ona z pewnością znajduje się w Paryżu. Kto wie zresztą, czy on nie potrafiłby się domyśleć jej identyczności z Ireną Sieniawską, a wówczas starałby się Ogińskiego z błędu wyprowadzić. Przed oczyma stanął jej nagle komisarz policji ze swymi podejrzliwie świdrującymi oczkami. Dreszcz przebiegł po całem jej ciele, na karku poczuła zimno noża gilotyny.

Bliską była obłędu. Biegała, jak szalona po pokoju, który z powodu zapadającego powoli wieczoru popadał w półmrok, straszne nieokreślone bliżej wizje ją ścigały. Wreszcie rzuciła się na sofę i popadła w dziwne jakieś odrętwienie.

Wyrwało ją z niego dopiero wejście baronowej, która, przybrana odświętnie, gotową była do teatru, gdzie obydwie miały być na premjerze.

— Cóż to znowu? — zawołała zdziwiona baronowa. — Nie jesteś jeszcze gotowa? Spóźnimy się, gdyż przedstawienie za pół godziny się rozpocznie.

— Zostaję dziś w domu — odrzekła Elfryda, a z głosu jej poznała baronowa, że nie jest ona w zwykłem usposobieniu.

— Cóż ci jest? — zapytała. — Czujesz się niedobrze?

— Tak — potwierdziła — i to bardzo niedobrze. Musimy teraz w domu siedzieć i to nie wiem jak długo, a może jeszcze co gorszego nastąpić.

— Na Boga, co takiego! Co się stało?

— Niech mama sobie wyobrazi, że dziś podczas spaceru w Lasku Bulońskim, spotkałam Brzeskiego. Siedział na ławeczce w mundurze oficera Legjonów Polskich i czytał gazetę. Szczęście, że mnie nie zauważył, gdyż nie miałabym co dłużej robić w Paryżu.

— Skądże on się tu wziął?

— Przybył widocznie z placu boju, gdyż jest ranny, bo nosi lewą rękę na temblaku. Z pewnością jest tu na rekonwalescencji.

— Co więc teraz robić?

— Nie mam pojęcia — odrzekła Elfryda — w każdym razie nie możemy się nigdzie pokazywać, aby uniknąć z nim spotkania. Może on nie wie, że tu jesteśmy.

— Z pewnością że nie wie, a także to pewne, że szukać nas nie będzie — odrzekła matka. — Dlatego też nie masz tak czego znów obawiać się, moje dziecko. Nils co innego... Ten nas szukał, więc nas też i znalazł. Brzeski nas szukać nie będzie, owszem, jak sądzę, sam nas będzie unikał.

— Lecz jeśli się spotka z Ogińskim, lub co gorsza, jako znajomy, zechce złożyć mu wizytę? Co wówczas? Nie można przypuszczać, by Ogiński nie zechciał mu przedstawić kochanej córeczki, a wówczas z niemałem zdziwieniem poznałby w niej swoją byłą żonkę oraz córkę baronowej von Weygen, która otruła Nilsa Andersona, o czem nie omieszka zawiadomić Ogińskiego a ten owego ze świdrującemi oczkami komisarza policji. Wówczas zamiast depozytów pani de Landre oraz miljonów Ogińskiego, zamiast pałaców pozostaną nam mury więzienne i wkońcu może gilotyna.

— Ach straszne, straszne — jęknęła baronowa. — Trzeba coś koniecznie przedsięwziąć, trzeba działać, póki czas!

— Tak, trzeba działać; — odrzekła Elfryda. — Ja wiem, że trzeba działać, lecz co i w jaki sposób?

— Jesteś już uznaną za córkę Ogińskiego i nosisz prawnie jego nazwisko, zatem jesteś też po prawie jedyną jego dziedziczką. Gdyby tak nie czekać na wynik procesu o depozyty pani de Landre, uprzątnąć starego, zabrać miljony i w świat?

— Nie jest to tak łatwo wykonać — odrzekła — jak łatwo mówić. Wprawdzie niema nic łatwiejszego, jak dodać do herbaty trochę mojego płynu i już byłoby po wszystkiem, lecz po tem co zaszło na ulicy Wiktora Hugo nie mam najmniejszej ochoty spotykać się z komisarzem policji, który swym przenikliwym wzrokiem zdaje się człowieka nawskroś przeszywać.

— To co robić? Ja nie jestem w stanie nic odpowiedniego wymyślić, chociażbym nawet jaknajbardziej sobie głowę łamała.

— Przychodzi mi do głowy taki plan. Wybierzemy się w podróż np. do Monachjum, a właściwie „Madame de Foiljer“ zechce odwiedzić tam swoich krewnych. Ja nie zechcę puścić „Opiekunki“ samej i uprę się także jechać i na podróż wyciągnę od starego potrzebne środki. Skorzystamy z tego, że unikniemy spotkania z Brzeskim, które nie byłoby teraz dla nas pożądanem, a pozostawimy Selmę, która tymczasem ze starym się załatwi. Podejrzenie nie padnie na nas, albowiem nie będziemy tu obecne, a o Selmę nikt nawet nie przypuści. Jeśli tym sposobem się nie uda, to chyba żadnym. W naszej nieobecności zetknięcie się nawet Brzeskiego z Ogińskim nie byłoby groźne, gdyż w najgorszym razie będziemy daleko, gdzie

moc francuskiego komisarza policji już nas dosięgnąć nie będzie mogła.

— Rzeczywiście jest to plan godny pochwały — odrzekła baronowa — tembardziej dlatego, że właściwie nawet mam w Monachjum krewnych, którzy nas z pewnością gościnnie przyjmą. Wiedziałam, że w twej głowie prędzej się coś odpowiedniego wylęgnie, dlatego też nie traciłam głowy.

W pół godziny po tej naradzie w gabinecie Ogińskiego, który porządkował swoje papiery, siedziała Elfryda w głębokim fotelu i chłodziła się wachlarzem.

— Ojczulku! — zagadnęła — moja opiekunka Madame de Foiljer wyjeżdża do swych krewnych, znajdujących się w Monachjum. Czy nie zrobiłabym ci przykrości, gdybym zechciała jej towarzyszyć? Wprawdzie jest mi bardzo dobrze przy tobie, lecz nudzę się trochę za opuszczonem miejscem rodzinnem. Rozerwałabym się trochę a przytem zwiedziłabym kraj, zupełnie jeszcze mi nieznany.

Ogiński zdziwił się trochę, lecz ta podróż była mu na rękę, albowiem sam wybierał się w podróż do Warszawy, i obawiał się, by „córka“ nie uparła się mu towarzyszyć. A ponieważ to miała być podróż w celach politycznych, najłatwiej więc było podróżować pojedynczemu człowiekowi, gdyż łatwiej mógł wrazie potrzeby, będąc sam, ujść niebezpieczeństwa.

A niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku. Zaborcy czyhali na uchodzących w Legjony Polaków, jak również na wysłanników emigracji, którzy przenosili do kraju wiadomości o zwycięstwach Napoleona i o walecznych czynach rodaków walczących pod jego sztandarami, wzbudzając otuchę w Narodzie, krzepiąc słabszych, którzy poczynali wątpić.

Jednym z tych wysłanników emigracji miał być pan Ogiński, który, będąc już w podeszłym wieku, nie mógł już wraz z innymi wyruszyć w pole, a ponieważ gorąco kochał ojczyznę, pragnął jej chociaż tym sposobem służyć, pozatem że połowę prawie olbrzymiej fortuny oddał na cele tworzących się Legjonów Polskich.

Pomyślawszy chwilkę, zgodził się na jej wyjazd, nie wspominając jednakże nic o tem, że sam zamierza wyjeżdżać. Rzecz naturalna, że nie szczędził jej potrzebnej do podróży gotówki, jak również nie zapomniał i o „Madame“.

Po naradzie z matką postanowiły nie zwlekać, lecz zaraz nazajutrz wyjechać, wezwały tedy do siebie Selmę, której udzieliły dokładnych instrukcyj, co ma czynić w czasie ich nieobecności.

Przygotowania trwały krótko. Następnego dnia opuściły Paryż, który z powodu jednego tylko człowieka nagle stał się dla nich zaciasny.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Wiadomo powszechnie, ze prefesór to jest taki człowiek, który powinien wszyćko umieć, no i przeważnie, jak który co robi, to tak dokumentnie i dobrze, ze jaze się wszyscy dziwują. Naprzykład nas prefesór, któremu na przezwisko Bakaliński, jak się do cego zabierze, to wszyćko idzie mu, jak z płatka. I to od samej młodości. Juz jak posedł do skół, do gimnazje, to ją skońcył za dwa lata, podcas gdy insi, siedzą tam po lat osiem i więcej. Bakaliński, jak się zabrał do roboty, to go zaraz po dwóch latach wyrzucili, powiadając, ze nie chcą takich mądrali trzymać zbyt długo u siebie, boby jem rozum wybuliło z głowy i nie mieliby co w niej nosić.

Jak się Bakaliński ozenił, to juz za śtyry miesiące miał bliźniaki i to takie dwa dorodne chłopaki, jak piniądz. Inksy musi cekać nieraz rok i dłuzej, a jak się mu co ulągnie, to ni przysył, niż przyłatał. Nieraz to takie mikrne, a do tego jesce dzieucha, ze skoda było na to takiego długiego cekania.

Choć pan Bakaliński miał w głowie rozumu jak plów, to i tak ciągiem mu z podwórka drwa kradli. Zalił się na to do stolarza, który podle niego miskał, ze mu ciągiem drzewa ubywa, a stolarz powiada, ze nie dziwota, bo drzewo miękie i świze, a na dworze sucho, to i drzewo się zsycha.

Ale pan Bakaliński casem, choć rzadko, miał naprawdę rozum, totez i po gadaniu stolarza poznał, ze ten stolarz cosik pomaga jego drzewu zsychać.

— Cekaj — pomyślał sobie Bakaliński — pokazę ja ci, ze świze drzewo nie ino wysychać potrafi, ale i co inksego.

Jak ino Bakaliński wypuścił dziecka ze skoły, tak posed do miasta i kupił se pół funta prochu. Ale nie myślcie sobie casem, jakoby chciał strzylać do złodzieja! On się strzylania bardziej bał, anizeli zając. Ale zato wziął se Bakaliński parę kawałków drzewa do izby, powywiercał w nich dziury, a w dziury te nasypał prochu i proch ten dobrze zaklinował. Tak przygotowane drzewo połozył na sam wirzch sąga.

Nazajutrz zrana uźrał ku wielgiej swojej radości, ze brakuje dwóch kawałków nabitego przez niego prochem drzewa. Więc tedy spokojnie ceka dalej, co będzie.

Wiecorem siedzi se przy wiecerzy, a tu naraz u stolarza: bęc... Huk... łoskot... krzyk. Idzie do okna, patrzy, a tu stolarz z Wawrzkową babą wylatują z chałpy i drą się: „Gore!“

— A widzis — powiada se pan Bakaliński. — Cegom chciał, to się stało!

Jako mądry i dobry człowiek pobiegł stolarzowi na ratunek, ale juz temcasem sąsiedzi paru kublami wody ogień ugasili.

— Co się stało? — zapytał się pan Bakaliński stolarza z uśmiechem.

— Co? jesce nic! to jest niby z tem ogniem? No to było tak. Poniewaz baba moja posła do Lezajska na odpust, więc chciałem se sam zimniacków na wiecerzę ugotować. Rozpalam, podkładam drzewo i biere się do inksej roboty. Jaz tu nagle coś huknie! zerwaliśmy się oboje... to jest zerwałem się cemduchu z łózka, patrzę, a tu z pieca kawałki, jakby pierun w piec uderzył, a na izbie palą się wióra... Narobiłem krzyku i po wszyćkiemu...

— Mnie się widzi — powiada pan Bakaliński na to — że was piec nie moze znieść świzego drzewa. Rozumiecie?

Stolarz zrozumiał i odtąd panu Bakalińskiemu juz drzewo nie ginęło.

W podobny sposób pan Bakaliński schwytał in-

kiego złodzieja. Powiadam, w podobny, choć było to całkiem inaczej. Pan Bakaliński chował sobie w ogrodzie winogrona. Żeby łodyżki miał do cego przywiązywać, wsadzał obok krzacków ładnie wystrugane tycki. Ale jak jednego dnia wsadził dziesięć takich tycek, to nazajutrz zostało ich jeno pięć, albo sześć. A zato u drugiego sąsiada, który także uprawiał winogrona, przybywało w sam raz tyle samo tycek, ile ich u pana Bakalińskiego ubywało.

Co tedy nie robi pan Bakaliński. Oto w każdą nową tyckę wscepia ziarko piechotnego grochu. Po niejakim casie wszyćkie jego tycki otocyły się grochem. Ale co dziwniejse, ze i u sąsiada wiele tycek także ubrało się grochem, zwłasca te, które sąsiad zapóźniej przesadził z ogrodu prefesórowego do swojego. Pan Bakaliński udał się do wójta ze skargą na sąsiada, gdzie bardzo łatwo udowodnił, jako jego tycki przez płot przelazły w nocy do ogrodu sąsiada. Sąsiad musiał skodę zapłacić i najadł się wstydu co niemiara.

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Podróżnik cykorja, *(Cichorium intibus)*. Łodyga prosta, około 60 cm. wysoka, gałęzista, liście lancetowate, wcinane, gładkie, kwiaty błękitne, bezogonkowe, po dwa skupione. Rośnie przy drogach, na miedzach i gruzach; kwitnie w czerwcu. Korzeń żółty, słodki, rdzeń gorzkawy; liście także gorzkawe mogą być używane jako sałata. Korzenie wyjęte w jesieni z ziemi, z naci oczyszczone i w piwnicy w świeżym piasku posadzone, pędzą nowe liście, które dostarczają dobrej, zimowej sałaty. Liście i młode łodygi dostarczają dobrej karmy dla bydła. Korzenie, po odrzuceniu gorzkiego rdzenia, bywają używane do zup i rosołów, ogotowane i pokrajane w krążki są przyjemnym dodatkiem do sałaty.



Korzeń służy jako surogat kawy. Wywar z korzeni działa oczyszczająco wzmacniająco, rozrzedzająco, stąd używa się go w zaflegmieniu płuc i żołądka, ponadto w chorobach wątroby, śledziony i nerek.

Dr med. *Stanisław Breyer*, Kraków, Wolska 36.

Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na lipiec.

Do najważniejszych, a może i najprzyjemniejszych zajęć dla pszczelarza należy odbieranie miodu naszym pszczółkom. W latach pomyślnych czynność ta odbywa się niejednokrotnie poraz pierwszy już w czerwcu, a poraz drugi w lipcu. W roku bieżącym zimna i późna wiosna zapowiadała rok klęski dla pszczelarzy. Tymczasem, dzięki Bogu, okazało się, że znów tak źle nie jest. Bo chociaż przez kwiecień i maj pogoda nie dopisywała, pszczółki rozwijały się wcale pomyślnie, a kiedy nadszedł czerwiec, było ich pełno w ulach. Oczywiście mowa tu o pszczołach u dobrych pszczelarzy, a nie u fuszerów. I chociaż i czerwiec był nieszczególny, zawsze tam gdzieś pszczoły znalazły sporą ilość słodkiego nektaru i dość czasu na zniesienie go do uli. Nie wiem, jak gdzieindziej, ale w Krakowie po 15 czerwca ule były pełne miodu tak, że w drugiej połowie tego miesiąca trzeba było go odbierać, aby zrobić miejsce na nowe zapasy. Jeden ul dał przeciętnie około 10 kilogramów miodu.

W dalszych okolicach od Krakowa było podobno nieco gorzej tak, że pierwsze, obfitsze miodobranie, o ile czas będzie sprzyjał, nastąpi dopiero w czasie kwitnienia lip, a więc gdzieś około połowy lipca. Co do odbierania miodu pszczołom, to nie trzeba się zbytnio spieszyć, aby same pszczoły miód dobrze do użytku przygotowały, usuwając z niego wodę i zaprawiając na zimę, co okaże się, gdy pszczoły zaczną plastry zasklepiać, ale i nie należy z odebraniem miodu zwlóczyć, gdyż później po ukończeniu zupełnem pożytku pszczoły stają się bardzo złośliwe i utrudniają pracę. To jedno, a drugie, że wówczas zachęca się pszczoły do rabunku, kiedy nie mają już w kwiatach nektaru.

Przy zabieraniu miodu nie należy zapominać, że matki tegoroczne będą silnie czerwiły aż do jesieni, należy przeto takim pniom zostawić znacznie większy zapas żywności, niezbędnej do karmienia czerwiu.

Młoda mucha ciągnie plastry aż do ustania głównego pożytku. Ponieważ ciągnięcie plastrów zabezpiecza pień od rojenia się i pobudza go do pracowitości, więc należy wykorzystać to usposobienie muchy i aż do końca miodobrania trzeba jej dodawać węzy, która przysporzy nam ładną ilość plastrów. Doskonałej węzy można dostać u p. E. Radomskiego, Klewań 2.

W lipcu wychodzi bardzo dużo rojów. Niestety, niektóre wychodzą tak późno, że już się nie obrobią na zimę, ponieważ wówczas brak już pożytku. Jeszcze najłatwiej obrobią się pszczoły kaukaskie, które zbierają miód z czerwonej koniczyny, a ta, jak wiadomo, kwitnie dopiero około połowy sierpnia. Jeżeli więc wyjdzie komuś rój późno, a w danej okolicy niema już pożytku, to ten powinien rój taki dobrze zasilić, dodając mu miodu z ula innego, lub podkarmiając obficie syropem. Oczywiście pień taki musi dostać ramki pełne, gdyż roboty nie pociągnie już wcale, albo bardzo mało.

W lipcu najpóźniej należy przystępować do wymiany matek starszych na młode. W żadnym ulu nie powinno być starszej matki ponad trzy lata, gdyż starsze matki czerwią bardzo mało, albo nawet zupełnie zaprzestają czerwić. Zmiana matki jest bardzo łatwa; poprostu usuwa się z ula starą matkę, a pszczoły same wygrzeją sobie nową. Nie można tego jednak czynić wówczas, gdy już pszczoły wybiją truty we wszystkich ulach. Jeżeli więc ktoś chciałby zmienić w więcej uli matki, to dobrze zrobi, jeżeli jeszcze w czasie pożytku osieroci jeden z najlepszych pni, aby tam truty przez czas dłuższy pozostały, bo osierocone pszczoły trutów nie wybijają. Jest to najłatwiejszy sposób zmiany matek, choć nie najkorzystniejszy. Dbały pasiecznik o swoją pasiekę hoduje specjalnie matki w czasie pożytku, aby co najlepsze z nich dodać później do osieroconych pni. Ale na to nie każdy ma czas i nie każdemu chce się tem trudnić.

Widząc koniec pożytku, trzeba zawczasu przystępować do zmniejszania gniazd. A więc przedewszystkiem trzeba pousuwać magazyny, jako już zupełnie

niepotrzebne, a potem przy każdym przeglądzie ujmować po jednej ramce i składać je w odpowiednie miejsce na zimę. Przy końcu lipca gniazdo powinno być już złożone na zimę. U pszczół kaukaskich można to zrobić później nieco, zwłaszcza tam, gdzie w sierpniu kwitnie dużo czerwonej koniczyny.

Gdy się pożytek już skończy, pszczoły bardzo są chętne do rabunku. Aby tego uniknąć, nie należy pozostawiać wówczas za szerokich wylotów, którem by się rabusie łatwo wcisły, szczególniej do słabszego pnia. Od chwili ustania pożytku trzeba na pszczoły pilnie uważać, aby nie dopuścić do rabunku, gdyż przez to możnaby sobie zniszczyć całą pasiekę.

KRONIKA.

Pogoda w lipcu. Według przepowiedni astrologicznych początek lipca miał być dość pogodny z większem zachmurzeniem i skłonnością do burz. W drugiej dekadzie, to jest od 10 do 20 lipca ma być naprzód zmiennie, potem pogodnie. Kilka pięknych i ciepłych lub upalnych dni. W trzeciej dekadzie, to jest od 21 do 31 lipca ma być na początku wzrost zachmurzenia przy aurze ciepłej, wietrznej i burzliwej. Po przejściu fali deszczu i przejściowem ochłodzeniu pogoda zmienna i dość ciepła z lokalnemi opadami.

Ostrożnie z psami! Są miłośnicy psów, którzy swym ulubieńcom pozwalają na wszystko, a więc nie bronią się im lizać po twarzy i rękach, a nawet są tacy, którzy psy całują, jak jakie drogie istoty. A tymczasem z psami trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż pominąwszy już to, że mogą one mieć w swej ślinie wiele niebezpiecznych dla człowieka zarazków, to nawet zdarzyć się może, iż mogłyby nabawić człowieka wścieklizny. Niech jako przykład posłuży fakt, jaki zdarzył się obecnie w Krakowie. Oto Edmund Pokuciński 44-letni murarz z Krakowa został ukąszony przed dwoma tygodniami przez małego pieska. Nie przypuszczając nawet, aby piesek ten mógł być chory na wściekliznę, nic sobie z owego ukąszenia nie robił. Aż dopiero po dwóch tygodniach spostrzegł z przerażeniem u siebie objawy wścieklizny. Nieszczęśliwy człowiek udał się natychmiast do szpitala św. Łazarza, prosząc o ratunek. Tu zajęto się nim z całą gorliwością, ale niestety, wszelka pomoc była spóźniona. Nieszczęśliwy człowiek po dwóch godzinach zmarł w strasznych cierpieniach. Powinno to być przestrogą dla wszystkich, których choćby lekko pies skaleczy, aby natychmiast poddawali się szczepieniu przeciw wściekliźnie, które jedynie może zapobiedz strasznym skutkom pokąsania.

Pożar w Żarkach. We wsi Żarki pod Chrzanowem wybuchł pożar w domu Franciszka Kosowskiego i niebawem przerzucił się na sąsiednie zabudowania, ogarniając dalsze dwa domy, dwie stodoły i stajnie, które spłonęły wraz z całem urządzeniem i przyrządami gospodarskiemi. Ocalała jedynie murowana stajnia. Poszkodowanymi sę: Franciszek Kosowski, Józef Szkółka, Jakób Gucik, Julja Gucik i J. Cyganik. Charakterystyczną jest rzeczą, że Jakóbowi Gucikowi już 4 razy spaliły się domy.

Targi kalwaryjskie. Od 2 lipca do 15 sierpnia odbywają się w Kalwarji Zebrzydowskiej tak zwane Targi kalwaryjskie. a właściwie wystawa, obejmująca wyroby ludowe przemysłu stolarskiego z Kalwarji Zebrzydowskiej i okolicy, stołkarstwa z Tarnawy, wyrobów dzianych z Tyńca, ślusarstwa z Świątnik i Sułkowic, hafciarstwa z Makowa, koszykarstwa z Rącznej oraz wyrobów skórzanych przemysłu ludowego. Wystawę tę można nietylko zwiedzać, ale i zakupić na niej wiele ładnych rzeczy, jakie się tam znajdują.

Tragedja uwiedzionej. Na polach koło wsi Brzeźnica pod Bochnią znaleziono wiszącą na starej olszy młodą dziewczynę. Zaalarmowane władze przybyły na miejsce wypadku w towarzystwie lekarza, który stwierdził zgon nieszczęśliwej. Stwierdzono, iż samobójczynią była Julja Krzywdówna, licząca lat 22, ze Starego Wiśnicza, która służyła u Salomona Biena w Bochni. W toku oględzin lekarskich stwierdzono, iż Krzywdówna była w stanie odmiennym, co zapewne było przyczyną samobójstwa.

Tajemniczy napad bandycki. Na drodze pod Ostrowem w powiecie ropczyckim znaleziono leżącego w krwi Jędrzeja Szostaka, liczącego lat 70. Po bliższem oglądnięciu rannego okazało się, iż ma on kilka ran postrzałowych na twarzy, na lewem i prawem przedramieniu. Z zeznań, które wydobyto od nawpół przytomnego człowieka, okazuje się, iż stał się on ofiarą tajemniczego napadu bandyckiego. Rannego przewieziono do szpitala w Krakowie, za sprawcami napadu poszukuje policja.

Mściwy syn rabina. Rabin w Gródku Jagiellońskim ma syna, który nie idzie śladami ojca. Gdy bowiom sam rabin jest człowiekiem pobożnym, synalek w nic nie wierzy, chyba w pieniądze, których ciągle potrzebuje i to dużo. Na tle żądania pieniędzy przez synalka od ojca przychodziło nieraz pomiędzy nimi do nieporozumień. Kiedy ostatnio rabin odmówił synusiowi pieniędzy, ten postanowił się zemścić. W tym celu wieczorem udał się do synagogi tamtejszej, zamknął się w niej i w ciągu nocy doszczętnie splondrował. Gdy następnego dnia służba weszła do wnętrza, nie zastała nikogo, natomiast ujrzała na podłodze porozrzucane strzępy tory, niedopałki papierosów i t. p. Bezbożnik opuścił Gródek Jagielloński, udając się w niewiadomym kierunku. Powiadomiony o profanacji bóżnicy rabin cudotwórca w Bełzie polecił żydom w Gródku Jagiellońskim pościć przez trzy dni na znak żołoby.

Płonąca dziewczyna. Dwudziestotrzyletnia Anna Królówna, służąca we Lwowie, zapadła na ciężką chorobę raka. Nieszczęśliwa dziewczyna tak się przejęła swoją chorobą, że postanowiła rozstać się z tym światem. W tym celu oblała się cała benzyną, a następnie benzynę tę podpaliła. Żywy słup ognia ugasili z trudem domownicy, a nieszczęśliwą dziewczynę w stanie groźnym odwieziono do szpitala.

Nadużycia w magistracie lwowskim. We Lwowie aresztowano dyrektora Zakładu czyszczenia miasta Romana Gończykowskiego, który używał robotników miejskich do prywatnych robót, popełniał nadużycia przy zakupnie materjałów, a nadto wywoził benzynę miejską poza Lwów i tam ją dla siebie sprzedawał. Nie dość na tem, oskarżył on przed władzami swojego zastępcę, inżyniera Mazurkiewicza o agitację komunistyczną, co okazało się jednak nieprawdą.

Samobójstwo żołnierza. Jeden z kolejarzy, przechodząc lasem biłohorskim koło Lwowa, znalazł w krzakach zwłoki żołnierza. Przerażony tym widokiem, powiadomił policję w Zimnej Wodzie, która udała się na wskazane miejsce. Ustalono, że były to zwłaki Władysława Kordiaka, szeregowca 6 pułku lotniczego w Skniłowie. Obok desperata znaleziono próżną flaszkę ze śladami kwasu solnego. Na podstawie oględzin zwłok stwierdzono, że Kordiak popełnił samobójstwo przez otrucie się kwasem solnym. Przy samobójcy nie znaleziono nic takiego, coby mogło naprowadzić na powód samobójstwa.

Sam się ukarał. W Piotrowicach pod Katowicami kasjerem gminnym był 52 letni Stanisław Ksiądz. Rządził on kasą gminną tak, że większą część wpływów do

kasy wydawał na własne potrzeby. I jakoś mu to uchodziło. Kiedy jednak obrano innego naczelnika gminy w osobie p. Grzbiela, ten zażądał od Księdza oddania kluczy od kasy i złożenia rachunków. Wówczas Ksiądz oświadczył, iż klucze pozostawił w domu i że je zaraz przyniesie. Opuściwszy urząd gminny, udał się nad staw do Zawiści i tam się utopił.

Ponury dramat w domku robotniczym. W cichym i spokojnym domu w Dąbrowie Górniczej mieszkała 40 letnia Ewa Urbańska z swym 21-letnim synem Marjanem i 49-letnim sublokatorem Stanisławem Sapetą, robotnikiem. Pomiędzy Sapetą a Urbańską wywiązał się z czasem bliższy stosunek i trwał już od lat kilku. Sapeta nietylko kochał Urbańską, ale i bił ją bardzo często serdecznie. Kobieta, choć tam popyskowała z tego powodu, ale mimo to żal jej było pozbyć się człowieka, który od czasu do czasu miał dla niej dużo czułości. Aż onegdaj Sapeta przyszedł do domu, jak zwykle, pijany i zaczął się ze swoją najdroższą kłócić, a potem bić ją. Syn Urbańskiej, obudzony krzykami, stanął w obronie matki. Między mężczyznami wywiązała się bójka, w czasie której syn porwał okutą laskę i przejechał nią po głowie przeciwnika. Sapeta z rozbitą głową runął nieżywy na ziemię. Marjan udał się na policję z zawiedomieniem, że zabił kochanka swojej matki.

Tragiczne skutki nieporozumienia. W Wolicy pod Chęcinami w województwie kieleckiem doszło do tragicznego zajścia, które pociągnęło za sobą życie ludzkie. Na wapienniku Rychtera wybuchł strajk na tle zatargu o wypłatę zarobów. Do Wolicy przybył zastępca starosty i powiatowy inspektor pracy celem zlikwidowania zatargu. Na konferencji, która się odbyła przy udziale przedsiębiorców i reprezentanta robotników p. Śliwińskiego z Kielc, doszło do porozumienia. Zastępca starosty i inspektor po załatwieniu sprawy mieli zamiar powrócić do Kielc, a ponieważ i p. Śliwiński miał tam powrócić, więc zastępca starosty zaprosił go do swego samochodu. Nagle ktoś w tłumie krzyknął: „Śliwińskiego aresztowano!“ Zanim wyjaśniono sytuację, tłum rzucił się na samochód, zepchnął go do rowu i usiłował przewrócić. Policjanci usiłowali tłum rozprószyć, a wtedy posypały się na nich kamienie i padło kilka strzałów. Trzech policjantów i dwie osoby z tłumu zostały ranne, a jeden robotnik zabity. Dopiero teraz sprawa wyjaśniła się, ale było już zapóźno. Strapieni robotnicy strasznym wypadkiem zgodnie z wynikiem umowy otrzymywali spokojnie pieniądze, okupione ranami pięciu osób i śmiercią jednego z towarzyszy. Przyczyną nerwowości robotników była zbrodnicza agitacja wywrotowa, jaką jakieś ciemne indywidua prowadzą w różnych stronach kraju.

Samobójstwo oblężonych włamywaczy. W majątku Dąbrowa Zielona w powiecie radomszczańskim do spichlerza, należącego do dworu, włamali się dwaj złodzieje. Administrator majątku zauważył włamanie i zamknął spichlerz, wskutek czego włamywacze zostali wewnątrz uwięzieni. Przez okienko spichlerza rozpoczęli się ostrzeliwać, kule jednak chybiały. Zaalarmowano policję, która otoczyła cały budynek. Uwięzieni włamywacze spostrzegłszy, że wydostanie się z pułapki jest dla nich niemożliwe, skierowali lufy rewolwerów ku sobie, padły dwa strzały i obaj zakończyli życie. Po otwarciu drzwi znaleziono już tylko dwa trupy. Okazało się, że byli to dwaj gospodarze miejscowi: 52 letni August Zamożniak i jego 24 letni syn Władysław.

Zagadkowa wędrówka bocianów. Z Opoczna donoszą, że mieszkańcy wiosek wzdłuż doliny rzeki Drzewiczki ze zdziwieniem obserwują zagadkową i niezwykłą wędrówkę bocianów. Ptaki te stadami, po kilkadziesiąt i kilkaset sztuk, z oznakami widocznego zmęczenia, bez przerwy nadlatują z południa, ciągnąc w kierunku północnym. Miejscowe bociany jednak nie przyłączają się do nich. I druga ciekawa rzecz; oto mieszkańcy powiatu opoczyńskiego stwierdzają, że w bieżącym roku bociany wcale w tym powiecie nie składały jaj i nie wychowywały młodych.

Tragiczny pożar w Łodzi. W piątek 30 czerwca wybuchł groźny pożar w fabryce pończoch w Łodzi firmy Seidenburm. Ogień powstał w czasie, kiedy fabryka była w ruchu i rozprzestrzenił się z błyskawiczną szybkością tak, że niektórym robotnikom odciął drogę odwrotu. W pewnej chwili ukazała się w oknie robotnica, Wanda Schreder, która wyskoczyła z drugiego piętra na bruk, łamiąc sobie nogi. Dotkliwem poparzeniom uległo nadto kilku robotników. Po chwili ukazał się w oknie trzeciego piętra sam właściciel fabryki, Chaskel Seidenburm. Strażacy z narażeniem życia uratowali go. Po kilku godzinach ogień ugaszono.

Fałszywa zakonnica. Na szosie radzyńskiej zauważył policjant idącą ku Warszawie zakonnicę w czarnych szatach, przepasaną olbrzymim różańcem. Ponieważ wydała ona mu się nieco podejrzaną, więc zażądał legitymacji. Zakonnica oburzyła się, jak policjant może żądać od tak świętej osoby legitymacji, i chciała iść dalej. Ale nieuprzejmy policjant, nie zważając na duchowne szatki zakonnicy, zaprowadził ją na komisarjat. Tu okazało się, że nie była to żadna zakonnica, ale najzwyklejszy ordynarny mężczyzna i to jeszcze dawno poszukiwany oszust i złodziej, Jan Wilczarek. Oczywiście ściągnięto z „świętej“ osoby szatki duchowne i wsadzono do kryminału. Wilczarek, przebrany za zakonnicę zbierał „ofiary na budowę kościoła“, a przytem tam, gdzie nocował przykradał, aby móc powiększyć uzyskane ofiary.

Ucieczka wisielca. Poza miastem Poznaniem powiesił się na drzewie przy drodze jakiś mężczyzna. Zauważyli go przechodnie, a odciąwszy ze sznura, poczęli przyprowadzać do przytomności. Ponieważ wszelkie usiłowania nie odniosły skutku, przeto zawezwano pogotowie ratunkowe. Niedługo odezwała się trąbka pogotowia, ale w tym momencie stało się coś niespodziewanego. Oto wisielec ów, którego nie można było przyprowadzić do przytomności, zerwał się błyskawicznie z ziemi, i nim się zorjentowano w sytuacji, zbiegł w błyskawicznem tempie. Zdaje się, ze nie był to rzeczywisty wisielec, ale jakiś żartowniś, który tylko udawał powieszenie się.

Olbrzymi jesiotr. W Wiśle pod Brdy Ujściem na Pomorzu wyłowił Franciszek Pawlak olbrzymiego jesiotra, długości dwa i pół metra, a o średnicy 1 m. 20 cm. ważącego około 140 kilogramów. Jak obliczają, jesiotr tem ma w sobie około 15 kilogramów ikry, z której wyrabiają kawior. Jesiotry mają olbrzymią siłę i niejednokrotnie rozbiły już łódź rybacką. Pawlak przy pomocy kolegi po pieciominutowej walce zdołał pokonać jesiotra, poczem uwiązał go na łańcuchu za pysk i na powrozie przy ogonie i pozostawił w wodzie, czekając na kupca. Wartość olbrzymiej ryby oceniają na 700 złotych. Wyłowienie tak olbrzymiej ryby w Wiśle należy do nadzwyczajnych rzadkości.

Zdradziecki wiatrak. W Samsiecznie na Pomorzu popsuł się wiatrak pani Facowej. Zawezwała więc cieślę, Edmunda Korpalewskiego, aby wiatrak naprawił. Korpalewski, naprawiwszy jedno skrzydło wiatraka, chciał je przymocować w właściwem miejscu, ale wówczas zerwał się łańcuch, przytrzymujący poprzednio założone skrzydło. Nie zauważył tego rzemieślnik i ciężkie skrzydło, zwolnione z uwięzi, z wielkim rozpędem wykonało pół obrót, przyczem ostrym kantem uderzyło pochylonego przy pracy na dole cieślę. Nieszczęśliwy rzemieślnik uderzony

został skrzydłem tak silnie w czaszkę, że śmierć nastąpiła na miejscu. Nieszczęśliwy osierocił żonę i czworo dzieci.

Zbrodnia karcianego oszusta. W powiecie bracławskim w zaścianku Małe Świły rozegrał się krwawy dramat w mieszkaniu Awdokji Świło. W godzinach południowych zebrało się kilku parobków w mieszkaniu wdowy Świło, gdzie na zaproszenie jej syna towarzystwo rozpoczęło grę w karty. Pomiędzy graczami znajdowali się i mieszkańcy sąsiedniej wsi bracia Jan i Jakób Rotczonkowie. Jan był zapalonym karciarzem, ale szczęście mu nie służyło, więc zaczął w kartach oszukiwać. Zauważył to Jakób i zwrócił uwagę na fałszywą grę brata. Jan obrażony wyszedł z izby. Nie poszedł jednak do domu, ale zaczaił się za oborą. Kiedy po jakimś czasie brat jego wyszedł z izby, Jan wybiegł z ukrycia, zbliżył się do niego i ciosem nożem w okolice płuc zadał mu śmiertelną ranę, aby tym sposobem pomścić wstyd, na jaki go Jakób naraził. Na krzyk rannego Jakóba wybiegli koledzy, chcąc go ratować, lecz zdradziecki cios był śmiertelny; po kilku minutach Jakób zmarł na rękach kolegów. Jan zbiegł i ukrywa się.

Podpalił las. Koło lasu folwarku Kuczno w powiecie dzisneńskim ma pole gospodarz Piotr Kowel. Na polu tem posiał sobie żyto, ale na żyto to rzucał cień sąsiedni las. Wobec tego Kowel postanowił las usunąć z sąsiedztwa swego pola. W tym celu poobléwał drzewa w lesie naftą i podpalił je. Ogień wczas spostrzeżono i ugaszono. Biodny chłopek nietylko lasu nie usunął, ale jeszcze będzie odpowiadał przed sądem za podpalenie.

Wybuch w elektrowni. Niezwykle ciężkie chwile przeżyli mieszkańcy Kraśnika. W późnych godzinach wieczornych wstrząsnęły miastem silne detonacje i w tym momencie miasto pogrążyło się w ciemnościach. Światła na ulicach i w mieszkaniach nagle zagasły, wywołując popłoch wśród ludności. Okazało się, że z nieznanych bliżej przyczyn nastąpił wybuch w elektrowni, demolując wszystkie maszyny.

Tragedja b. księdza. Na Litwie znany był wszystkim ksiądz prałat Olszewski (Olszauskas). W roku 1930, nie wiadomo, słusznie, czy nie słusznie, oskarżono go o zamordowanie kochanki, a sąd skazał go na 8 lat więzienia. Po półtora roku ułaskawiono go ze względu na jego zasługi dla niepodległości Litwy. Po uwolnieniu opuścił on własną ojczyznę, ale z początkiem 1932 roku powrócił i osiedlił się w pobliżu Kretyngi jako rolnik. Onegdaj wieczorem Olszauskas wracał z Połągi do domu. W pobliżu wsi Butwinge, kiedy znalazł się obok zagajnika, posypało się na niego szereg strzałów z ukrycia. Ranny śmiertelnie zakończył życie. Woźnicy jego nic się nie stało. Przypuszczają, że chodzi tutaj o akt zemsty jakiegoś fanatyka. Olszauskas liczył 69 lat.

Klęska powodzi na Rusi Podkarpackiej. Z Rusi Podkarpackiej nadchodzą ponowne alarmujące wiadomości o katastrofalnej powodzi, która nawiedziła szerokie obszary Rusi, wyrządzając we wsiach i miastach olbrzymie spustoszenia. Wiele potoków górskich wskutek długotrwałych bezustannych deszczów zamieniło się w rwące rzeki, a wszystkie prawie dopływy Cisy wystąpiły z brzegów, zalewając olbrzymi szmat kraju. Miasteczko Wielkie Rakowice zostało zupełnie odcięte od świata, wiele domów zostało zalanych, a w nurtach zginęły wielkie masy bydła i nierogacizny. Wszystkie prawie mosty na obszarze, nawiedzonym przez katastrofę żywiołową, zostały zerwane. Pod naporem szalejących wód załamały się filary żelaznego mostu nad rzeką Ung w pobliżu Wielkiego Rakowca i w ciągu kilku minut ze wspaniałego mostu, wybudowanego w ubiegłym roku kosztem trzech miljonów koron, nie pozostało nic.

Konserwy ze szczurów. W wielu okolicach Rosji brak żywności tak, że lud przymiera głodem. Natomiast rozmnożyły się tam w niebywałej ilości szczury i myszy. Rząd bolszewicki postanowił dwie te klęski połączyć ze sobą i wykorzystać je. Oto stworzył on nowy zawód „łapiszczurów". Specjalnie więc wyszkoleni ludzie łapią szczury i myszy i odsyłają je do miasta Gorki (dawniej Niżniej Nowogród), gdzie z mięsa tych zwierząt sporządzają konserwy dla biednej ludności. Dla przerobu tych specjałów budują tam obecnie nową wielką fabrykę. W fabryce tej będą przerabiać na konserwy mięso nietylko szczurów i myszy, ale także kotów i psów.

Posucha na Ukrainie sowieckiej. Na Ukrainie sowieckiej panują niezwykłe upały i posucha. Jak przewidują, posucha ta wpłynie nadzwyczaj ujemnie na tegoroczne zbiory.

Zamach hitlerowców na Austrję. Hitlerowcy, opanowawszy Niemcy, chcieliby zagarnąć pod swoją władzę i Austrję. Broni się przed tem dotychczas skutecznie kanclerz austrjacki, Dollfuss, paraliżując wszelkie ich poczynania. W ubiegłym tygodniu planowali hitlerowcy zamach na Austrję przez wywołanie przewrotu. Władze austrjackie jednak na czas wyśledziły przygotowania hitlerowskie i zamach udaremniły.

Nowy zamach hitlerowców w Austrji. W Kuffstein, w Austrji, usiłowali dokonać hitlerowcy zamachu na tamtejsze starostwo. W tym celu pod mur starostwa podłożyli sześć bomb, z których każda ważyła dwa kilogramy, a napełniona była materjałem wybuchowym, wyrabianym wyłącznie w Niemczech. Bomby były zaopatrzone w lonty długości 8 metrów. Dzięki tylko ulewnemu deszczowi, który zagasił płonące lonty, bomby nie wybuchły i cały zamach spalił na panewce.

Katastrofalne burze w Bośni. W okolicach Zaice w północnej Bośni szalały ostatnio katastrofalne burze, połączone z gradobiciem, które wyrządziły w dużych połaciach kraju wielkie zniszczenia. Dwie rzeki wystąpiły z brzegów i zalały wielkie obszary. W wezbranych nurtach zginęło wiele bydła i drobiu. W szeregu wsi zawaliły się pod naporem liczne domy, zaś w innych okolicach grad zniszczył doszczętnie wszystkie plony.

Teror w Niemczech. Rząd hitlerowski w Niemczech dąży coraz szybszymi krokami do zgniecenia wszystkiego, coby jeszcze mogło wobec niego stanąć w opozycji. Po zgnieceniu komunistów, po pogromach żydów, zabrał się obecnie do katolików. Rząd ten przeprowadza wszystkiemi środkami likwidację wszystkich związków, organizacyj i partyj niehitlerowskich. Fala aresztowań wzmaga się z dnia na dzień. Do jakiego stopnia dochodzi ten teror, świadczy o tem fakt, iż aresztowano wszystkich posłów do sejmu bawarskiego i parlamentu niemieckiego, którzy należeli do bawarskiej partji ludowej. Rozwiązano wszystkie rady kościelne w całych Niemczech. I nie dość na tem: hitlerowcy zmusili nawet biskupa ewangelickiego Boedelschwingha do ustąpienia, obejmując zarząd kościoła ewangielickiego w swoje ręce.

Zasypana wieś. W wiosce Laisch w Szwajcarji obsunęła się ziemia z powodu wielotygodniowych deszczów, zasypując całą wieś. Ponieważ katastrofa nastąpiła w nocy, przeto tylko niewielu mieszkańców zdołało ujść przed nią. Wszyscy inni ponieśli śmierć pod zwałami ziemi.

Napad bandycki w centrum Paryża. W samo południe na placu Zgody, a więc w samem centrum Paryża, na samochód pewnego bankiera dokonało dwóch bandytów śmiałego napadu. Bandyci steroryzowali szofera, poczem ubezwładnili bankiera i zrabowali mu teczkę z pieniądzmi w sumie 120.000 franków. Korzystając

z powstałego zamieszania, bandyci zmieszali się z tłumem ludzi i znikli.

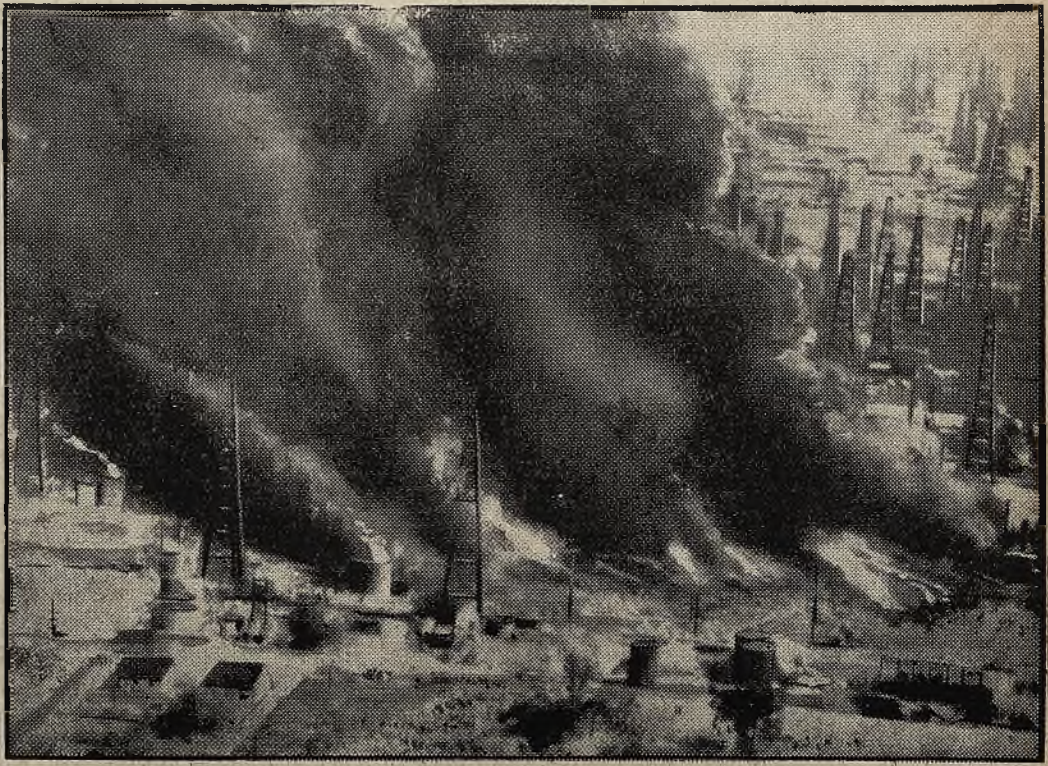
Trzęsienie ziemi w Japonji. Północną i środkową Japonję nawiedziło trzęsienie ziemi, które jednak nie wyrządziło żadnych większych szkód, chociaż trwało przez 2 i pół minuty. W różnych miejscowościach przerażeni mieszkańcy wybiegli ne ulice.

Meksyk naśladuje Niemcy. W niektórych stanach Meksyku w Ameryce środkowej szerzy się ruch przeciwżydowski. W miejscowości Masaplas sklepy żydowskie zostały splondrowane. Doszło do poważnych zaburzeń. Na czele pogromców stoi Dr. Lira, który oświadczył, że Meksyk powinien pójść za przykładem Niemiec hitlerowskich i wypędzić z swoich granic żydów.

Rzeczy ciekawe.

Olbrzymia eksplozja.

W południowo-kalifornijskiej miejscowości kąpielowej Long Beach przewożono na tankach zapalne oleje. Z niewiadomego powodu na jednym z tanków powstał ogień, który spowodował ogłuszającą eksplozję. — Momentalnie pożar przeniósł się na inne tanki, które również eksplodowały, a rozlany płyn począł płonąć wielkim płomieniem, wytwarzając olbrzymie chmury dymu, Wskutek eksplozji 30 osób zostało zabitych lub spalonych, zaś 17 odniosło ciężkie rany. Na obok zamieszczonym naszym obrazku widzimy szereg płonących tanków tuż po eksplozji, z których unoszą się czarne kłęby dymu.



Największe miasta na świecie.

Do roku 1914 istniało na kuli ziemskiej 15 miast, posiadających każde przeszło 1 miljon mieszkańców. Obecnie takich miast mamy już 29; w Europie — 12, w Ameryce 7, w Azji 7 i w Afryce 1.

Ludność Stambułu, licząca do wojny 1,200.000 mieszkańców, spadła obecnie do 600.000. Zmniejszyła się również ilość mieszkańców Wiednia, Tokio, Kantonu i Hankou. Natomiast przyrost ludności w Moskwie sięga ponad miljon.

Według ostatnich danych statystycznych pierwsze miejsce według ilości mieszkańców zajmuje New-York (9 miljonów), dalej idzie Londyn (8 milj. 260 tys.), Paryż (około 5 milj.), Berlin (4 milj. 340 tys.), Chicago (3 milj. 380 tys.), Moskwa (3 milj.), Szanghaj (2 milj. 700 tys.), Leningrad (2 milj. 400 tys.). Osaka (2 milj. 450 tys.), Buenos Aires (2 milj. 150 tys.), Tokio (2 milj. 130 tys.), Filadelfja (ok. 2 milj.), Wiedeń (1 milj. 840 tys.), Detroit (1 milj. 570 tys.), Rio de Janeiro (1 milj. 470 tys.), Warszawa (1 milj. 180 tys.).

Tajemniczy szczep ludzki.

Młody uczony Desmond Holdrige, który z ramienia amerykańskiego Towarzystwa geograficznego odbył podróż naukową po Venezueli, powrócił właśnie do Nowego Jorku i oświadczył sprawozdawcom dzienników, że w tej republice południowo amerykańskiej odkrył zupełnie nowy szczep, o którym dotąd nigdy nic nie słyszano. Szczep ten nazywa się Pishaukoi żyje w wysokich górach na pograniczu Venezueli i Brazylji. Jest to rasa zupełnie odmienna od wszystkich plemion indjańskich w Południowej Ameryce. Wierzenia ich i obyczaje są także zupełnie odmienne. Pishaukowie są rasą niezmiernie bitną, a wszyscy ich sąsiedzi do tego stopnia się ich obawiają, że p. Holdrige nie mógł wśród tych sąsiadów znaleźć nikogo, ktoby zechciał mu być przewodnikiem w wyprawie, toteż odbył on ją sam jeden i udało mu się nawiązać przyjazne stosunki z wodzami tego tajemniczego szczepu.

Rzeczy ciekawe o poczcie.

Historja poczty.

W dawnych czasach instytucja poczty nie była w każdym kraju jednolitą. Każde miasto, każdy prawie klasztor, zakon rycerski, czy uniwersytet posiadał swoją własną, przez siebie utrzymywaną pocztę, używając do transportów listów i przesyłek posłańców konnych, których szybkość na dzień wynosiła 150 km. i więcej. Były więc poczty miast, poczty klasztorne, rycerskie, uniwersyteckie, rzeźnickie. Te ostatnie były utrzymywane przez rzeźników — stąd ich nazwa. Przybywając do miast dawali mieszkańcom znać o swoim przyjeździe przez wygrywanie krótkich pobudek na rogach. Ten róg używany przez te t. zw. poczty rzeźnickie — zmieniony zczasem w trąbkę stał się symbolem poczty. *Emil Piórecki.*

Historja znaczków pocztowych.

Ciekawą jest również kwestja znaczków pocztowych, kartek korespondencyjnych. Znaczków pocztowych — dawniej nie znano. Opłacano listy gotówką. Pierwsze znaczki pocztowe wprowadził dopiero król fancuski Ludwik XIV w roku 1653.

Kartki pocztowe.

Popularne tak dzisiaj kartki pocztowe istnieją stosunkowo niedługo. Ten sposób korespondencji zaprojektował w Wiedniu profesor Emanuel Herman w roku 1865. Z początku projekt ten nie znalazł jednak uznania. Kartki pocztowe wprowadzili w życie Niemcy w roku 1870 podczas wojny z Francją, jako pocztowe kartki polowe. W kilka lat później obrót kartkami pocztowemi wynosił w Europie przeszło ½ miljarda. Najpóźniej weszły w życie widokówki. Najpierw ukazały się one w Anglji, gdzie wprowadził i rozpowszechnił je drukarz M. Tuck około roku 1900. Niedługo rozpowszechniły się w całej Europie i innych częściach świata.

Przekazy i weksle.

Obrót przekazowy (przesyłanie pieniędzy przez pocztę) istnieje od roku 1862.

W roku 1875 wprowadzono zlecenia pocztowe (weskle itp.), które dopiero po kilkunastu latach uzyskały poparcie i uznanie społeczeństwa.

P. K. O.

Pierwszą pocztową kasę oszczędności, czyli tak zwaną dziś popularnie Pekao (P. K. O.) zaprowadziła u siebie Anglja w roku 1861, stwarzając obrót oszczędnościowy zapomocą urzędów pocztowych.

Opłaty pocztowe.

Wielką trudność sprawiała w dawnych czasach niejednolitość opłat pocztowych. Odnosiło się to nietylko do listów wysyłanych zagranicę, ale także do listów krajowych. Opłata była zależna nietylko od wagi, ale — co było gorsze, również od odległości. Jeśli ktoś w Polsce wysyłał np. 5 listów w różne okolice kraju, to musiał składać 5 różnych opłat. Jednolite porto dla listów krajowych bez względu na odległość zaprowadził w Polsce w XIV wieku Stefan Batory. Opłata za list do wagi 1 łuta wynosiła 4 polskie grosze. Inne państwa Europy wprowadziły tę jednolitą opłatę za listy krajowe dopiero w XIX wieku za wzorem Anglji (reforma Hilla), a więc blisko 300 lat później niż w Polsce.

W niektórych wypadkach i teraz jest podobnie np. zaprowadzenie motocykli do opróżnienia skrzynek miało miejsce daleko wcześniej w Krakowie niż w Paryżu.

Skrzynki pocztowe.

Skrzynki pocztowe znane już były w XVI wieku. Już na początku XVI w. znane były we Florencji i Wenecji t. zw. tamburi. Były to skrzynki przeznaczone do wrzucania anonimowych zażaleń i doniesień. „Tamburi" długo nie utrzymały się — natomiast użytkowanie skrzynek do celów pocztowych rozpowszechniało się coraz bardziej. *Emil Piórecki.*

Umundurowanie.

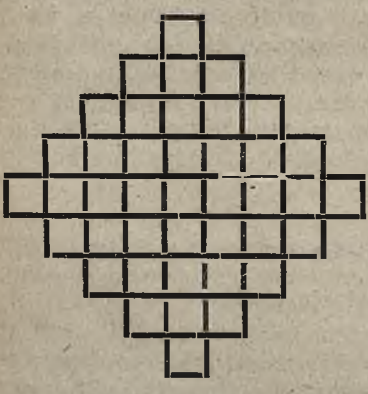
Jednakowe umundurowanie personelu pocztowego wprowadziła około roku 1450 (najpierw w poczcie medjolańskiej) włoska rodzina Taksisów, której działalność w zakresie rozwoju poczty miała duże znaczenie dla wielu państw europejskich.

Emil Piórecki.

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka.

(Ułożyła Helena Rąplówna z R.).



W kratki wstawić litery, a środkowy rząd pionowy i poziomy da tytuł dramatu poety polskiego.

Znaczenie wyrezów: 1. Spółgłoska 2. Grupa drzew. 3. Ptak nocny. 4. Miasto w Polsce. 5. Nieznany wyraz. 6. Zatrudnienie. 7. Inaczej budowy. 8. Zaimek. 9. Samogłoska.

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Nasi praojcowie sławni w całym świecie
W walkach za kraj byli pierwsze drugie, [trzecie,
Pierwsze wspak i czwarte wielkie porty [mają,
Drugie czwarte czasem nad stawem latają,
Całych do ważenia ludzie potrzebują.
Łatwe to, więc myślę, że wszyscy pojmują.

II.

Czytelniku miły, to ci radzę czwarte,
Byś swego honoru nie stawiał na kartę,
Nie pierwsze go nigdy przez występki żadne
A trzymaj się tego, co dobre i ładne
Druga, cześć trzy w wojnie śmierć lub ra- [nę niesie,
Cała jest potrzebna w każdym interesie.

3. Zagadki.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

Litera to żarty, miasto blisko Warty.

4. Układanki.

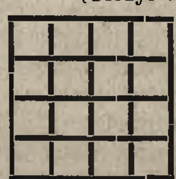
(Ułożył Jan Smaza z Z.).

1. Przysłówek + drzewo + spółgloska = ?
2. Imię chińskie + spółgłoska + zaimek = ?
3. Samogłoska + kierownictwo = ?
4. Imię żeńskie = jaki kwiat?
5. Imię męskie = jaki kwiat?

Ze wszystkich układanek otrzymamy kwiaty.

5. Kwadrat magiczny.

(Ułożył J. Pankowski z K.).



Zwierzę drapieżne.
Choroba nagła.
Cień
Trunek.

W miejsce kratek wpisać litery, aby dały znaczenie obok podane.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki dla rozwiązujących.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 14 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 26 „Roli": 1. Logogryf: Kryzys wszechświatowy. 2. Szarady: I. Karmelki, II. Karaca. 3. Zagadki: I. Rola-Kola, II. Ręka-męka. 4. Układanki: I. Barbara, II. Mirt, III. Jaśmin, IV. Tygrys, V. Kapusta. 5. Bilety wizytowe: I. Meksyk, II. Bułgarja.

W oznaczonym czasie dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Teraźniejsze dzieci.

Ojciec: Stasiu, dlaczego nie powiedziałeś mamusi o tem, że byłeś dziś w szkole karany?

Synek: Nie powiedziałem dlatego, bo tatuś często powtarza: „Kobiety nie powinny o wszystkiem wiedzieć"...

Prawda.

Sędzia: Czy nie wiesz, że to bardzo źle kraść gęsi?

Złodziej: To prawda, panie sędzio, zadużo wrzeszczą.

Mądry pies.

Adam: Pan masz bardzo mądrego psa.

Bernard: To jeszcze nic. Widziałem psy mądrzejsze od ich panów.

Czesław: Ja sam miałem takiego psa.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy w dniu 4 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·08 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę ciężkiej wagi	od 1·40 do 1·5

Giełda zbożowa zamknięta.

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienia klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.